

Literskich

RODZINA

rolska



MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY
WARSZAWA

ROK XI. LUTY 1937.

<http://rcin.org.pl>

Cena egz. 50 gr

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

GARŚĆ POPIOŁU

W dniu popielcowym rokrocznie posypuje Kościół głowy swych wiernych popiołem. Spada szczypta pyłu z poświęconych palm na skronie kłęczących, a nad nimi unoszą się cichym, poważnym brzmieniem słowa kapłana: „Pamiętaj człowiecze, że proch jesteś i w proch się obrócisz!”

Właściwie, my wszyscy o tym dobrze wiemy. Zdajemy sobie doskonale sprawę z tej prawdy życiowej, która nas tak upokarza. Ale tak o niej często zapominamy, mimo, że widzimy, jak dokoła nas ludzie starzeją się, chorują, umierają, zstępują w grób, gdzie po nich rychło pozostaje już tylko garść popiołu... Ciągłe nam się wydaje, że inni są łatwą zdobyczą śmierci, podczas gdy nasze ciało jest — niezwycone, że nigdy nie zazna „skażenia grobu”... Byłoby stokroć lepiej, gdybyśmy jednak uwierzyli praktycznie w tę prawdę i przynajmniej raz do roku żywo ją sobie stawiali przed oczyma.

Ciało nasze jest garstką popiołu...

W cesarskim grobowcu w Madrycie stanął książę Gandii nad otwartą trumną cesarzowej Izabeli. Była to urzędowa formalność. Miał stwierdzić tożsamość ciała zmarłej monarchini. Z chwilą podniesienia wieka, przerażone jego oczy spoczęły na twarzy nieboszczki. Nie mógł poznać tej, którą współczesni nazywali „Piękną”. Zwłoki dość długo już były w drodze i uległy częściowemu rozkładowi. Wiał od nich trupi odór zgnilizny i uciekały od nich oczy widza, nie nawykłe do widoku tak potwornych zniekształceń tak pięknej do niedawna kobiety.

W duszy księcia Gandii coś się załamało. Dokonał oględzin zwłok, wstrząśnięty do głębi. Nie wiedział sam, co się z nim dzieje. Miał dotąd w pamięci cudne rysy i wspaniałą, dumną postać swej pani — a teraz oto ją widzi umarłą... Gdzież oczy, którymi czarowała każdego, na kogo tylko popatrzyła? Gdzież usta tak świeże i tak pełne słodkiej, przekonującej wymowy? Gdzież oblicze, pełne majestatycznego piękna? Cóż tylko zechciała, mogła mieć. Każdy czuł się szczęśliwy, że może usłużyć swej pani... A dziś?! — Każdy z obrzydzeniem odwraca się od trupa. I on sam, wierny sługa — w tej liczbie...

Majestat śmierci wiał dziś od tej trumny i nasuwał myśli popielcowe, że cała piękność ciała człowieka, cała wielkość tej ziemi, da się streścić w zwężonej formie Kościoła: — Jesteś proch i popiół. Chwilowo tylko piękna maska przesłania szarą rzeczywistość. Maskę zdejmują, i szary proch ziemski uderza w oczy widzów swym rozkładem... Jedyną wartość nieprzemijającą przedstawia dusza. Dla niej żyć i pracować należy...

I książę Gandii po odbytych pogrzebie cesarzowej Izabelli postanowił nieodwołalnie resztę życia poświęcić

swej duszy. Wstąpił do zakonu Towarzystwa Jezusowego, żył i umarł jak święty, wyniesiony z czasem na ołtarze. — — —

W toskańskiej wiosce Alviano przeżyli mieszkańcy w 1270 roku wstrząsające zdarzenie.

Już od dziecięciu lat dziewczyna z ich wioski, Małgorzata, żyła w gorszącym związku z młodym i bogatym panem w pałacu jego w Monte Pulciano. I oto pewnego dnia młody rozpustnik udał się na objazd swych włości i więcej nie wrócił. Dwa dni szukano go nadaremnie, aż wreszcie drugiego dnia wbiega do pałacu mały piesek, który mu towarzyszył. Skomląc żałośnie wpada do pokoju Małgorzaty i szarpiąc ją za sukienkę ciągnie za sobą, jakby chciał gdzieś prowadzić. Wiedzioną przeczuciem, podążyła za pieskiem. Doprowadził ją do zarośli i małymi łapkami począł gwałtownie rozgrzebywać ziemię pod jednym drzewem. Rozkopano to miejsce i oczom przerażonej dziewczyny ukazały się zwłoki jej nieprawego wielbiciela. Zamordowali go zbójcy, ograbili z pieniędzy, a ciało zakopali w lesie. Już zaczęło gnić i wydawało ze siebie woń nieznosną, odrażając patrzących swym widokiem.

Piękna i próżna panna nie oparła się wstrząsającej wymowie zjadanych przez robaki, gnijących oczu swego kochanka. Tak!... To była ta piękność, co ją oczarowała i zepchnęła na dno grzechu tyle lat! W jakim stanie jego dusza poszła na sąd Boży? I jakie nad nią pokazało się miłosierdzie Boże? Nie wolno jej zwlekać ani chwili. Wybiła godzina nawrócenia...

W najbliższą niedzielę przed progiem kościoła w Alviano wierni, zdążający na sumę, ujrzeli skuloną na kłęczkach, cichą postać kobiecą. To Małgorzata, przyodziana włosiennicą zamiast niedawnych szat i klejnotów, żebrała miłosierdzia u Boga, przebaczenia win swoich u ludzi. Piła z kielicha rozkoszy do dna, chciała teraz wychylić do końca kielich utrapień i pokuty. Wstąpiła do pokutniczego zgromadzenia sióstr z Kortony, gdzie już odtąd żyła i umarła jak święta.

Ciało człowieka jest garścią popiołu... Dobra, rozkosze i radości, jakie nam ofiaruje, są przelotnym darem. Nie ma w nich nieskończonych wartości, jakie jedynie ofiarować nam może dusza. Dla niej żyć winniśmy głównie, nie dla ciała.

Kiedy więc kapłan w Środę Popielcową pochylił się nad nami, by nam przypomnieć zasadniczą prawdę naszej wartości człowieczej — wartość ducha, znikomość ciała — spójrzmy w tym wielkim i jasnym świetle wiekuistych naszych przeznaczeń. Przez ciało — jesteśmy synami ziemi, przez duszę — dziećmi Bożymi.

Jan Czar

Cena ogłoszeń zatekstowych: $\frac{1}{2}$ str. — zł 700, $\frac{1}{4}$ — zł 380, $\frac{1}{8}$ — zł 200, $\frac{1}{16}$ — zł 120, $\frac{1}{32}$ — zł 70, $\frac{1}{64}$ — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOŚI:

R O C Z N I E:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk	Ameryka	2 dolary
Francja	23 frank.	Inne kraje	6 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1,50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr. Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY

ROK XI.

WARSZAWA – LUTY 1937

Nr 2.

S. MARIA-ALICJA

ŚWIETLANY CIEŃ

Tu es Petrus, et super hanc petram aedificabo Ecclesiam meam (Mat. XVI, 18).

Gdy świat brodzi wśród ciemności, noc przejmując trzodę drzeniem,

Za człowiekiem z krwi i kości, staje Bóg świetlanym cieniem.

Wnet świta dzień
I pierzcha noc,
Gdy błysnie klucz Piotrowy:
To Boski cień
Swą Boską moc, przelewa w członki z głową.

Et tibi dabo claves regni caelorum (Mat. XVI, 13—19).

„Tu es Petrus!”
Boże słowa — to Sakrament:
Dłoń Piotrowa z kluczem
dzierży ludzkość całą;
W nieśmiertelne zmienia ciało,
W Chrystusową Hostię białą,
W korpus Christi!
A Boży Syn,
zdroje Swych łask w Kościoła
zlewa Głowę:
Wieczysty prąd
Wytwarza Siew,
I Życie wieczne nowe!

Quodcumque ligaveris super terram, erit ligatum et in caelis (Ibid.).

Bóg Wcielony, Słowa mocą,
Z kluczem związał wieczność całą;
Jak z pozorem wątłym Chleba,
Przenajświętsze Swoje Ciało.
A chociaż sam niezmierny trud
W krzyżowej podjął męce,
To jednak klucz do Niebios wrót
W człowiecze złożył ręce.
„Corpus Christi!”
W Piotra dłoni błyska ciągle
Hostia nowa;
„Non sum dignus” wiecznie
dzwoni:
To Komunia Chrystusowa.

Dzwoń, Piotrze, dzwoń,
Czas nam już, czas, na Barankowe gody:
Weź klucz swój w dłoń, i prowadź nas.
Zwierzone sobie trzody.



Duc in altum (Luc. V.)

Huczą fale,
Biją gromy!
Ludzkiej chwały giną domy,
Czeluść mroczna je pochłania;
A Pan barkę Swą osłania,
Na głębinie...
Wir pędzi łódź na skalny próg,
w spienionej nurza toni:
Nie zginie Piotr,
Bo za nim Bóg
Ster w Boskiej dzierży dłoni.

Ewangelii światło nowe, otoczyło
Piotra głowę:
Nieomylny nimb Dogmatu
Zwątpiałemu błyszczą światu.

W bezedni wód,
W powodzi fal,
Wszystko się graży, ginie.
Piotrowa Łódź
W bezkresną dal
Świetlanym torem płynie ...

Wszystko mija!
Wśród przestworza, buja cicho
Arka Boża.
Rwie się wszystko wśród zamieci,
A cień Boży stale świeci
Na Opoce.
Wszzechwiedzącym, Boskim wzro-
kiem
Głębie dusz przenika skrycie,
Czy z Piotrowych ust wyrokiem
W nieśmiertelne idą Życie? ...

Obsecro te ...

O prowadź mnie! ...
I rządz,
I ucz,
W życiowej ratuj męce!
Mój wieczny los,
Mej duszy klucz,
Powierzam w twoje ręce.



PAPIEŻ PIUS XI

CZŁOWIEK CZY MASZYNA

W marzeniach o usunięciu morderczych warunków pracy fizycznej, o sprawiedliwym podziale dóbr, o zapewnieniu jednostce ludzkiej minimum egzystencji — w tych marzeniach żyli ci wszyscy, którzy wyczekiwali zbawiennej wyzwolenczej roli od maszyny i techniki.

Już słynny Campanella w „Civitas solis” (1623) przewidywał taki rodzaj techniki, który wyzwoli człowieka z męki fizycznej. Już Fourier przed 120 laty przepowiadał, że dzięki ulepszeniom i wynalazkom technicznym „wyzwoli się człowiek z roli bydła robocego”. Już w 1890 r. Hertzka wydał głośną w owym czasie książkę „Freiland”, w której daje obraz szczęśliwego kraju, korzystającego z nowych zwycięstw techniki.

Ale te marzenia i nadzieje wielbicieli maszyny i techniki zawiodły. Nowoczesny rozwój techniki maszynowej pociągnął za sobą różnego rodzaju kryzysy i depresje, zaostrzenie się konfliktów, zachodzących między kapitałem i pracą — a co za tym idzie, olbrzymią falę krzywdy, złorzeczeń, nienawiści i udręki.

Udoskonalenia techniczne, nie kontrolowane sumieniem, sprawiły, że pracę ludzką zastępowała w coraz szerszym zakresie maszyna — i coraz liczniejsze zastępy bezrobotnych zostają wyrzucane na bruk. Okazało się, że postęp techniczny odbywa się o wiele szybciej, niż przystosowują się do niego formy gospodarcze i społeczne. Wskutek tego każde udoskonalenie techniczne, każda nowa zdobycz w zakresie racjonalizacji produkcji stała się przekleństwem dla wielkiej masy robotników, pozbawionych przez tę zdobycz pracy... Samo jedno zautomatyzowanie zamykania drzwi w wagonach nowojorskiej kolei podziemnej pozbawiło pracy 70.000 konduktorów, których głównym zajęciem było właśnie zamykanie tych drzwi...

O tym problemie tragedii nowoczesnej techniki pisał niedawno słynny pisarz angielski H. G. Wells. Odbył on podróż do Stanów Zjednoczonych i po powrocie napisał książkę pt. „New America — New World” (Nowa Ameryka — Nowy Świat), odnosząc to ostatnie słowo do całej kuli ziemskiej. Oto jak on ujmuje stan doby obecnej:

„Wynalazki techniczne”, powiada Wells, „zaskoczyły zniemacka nasze uczucie i wyobraźnię... gdyż równocześnie z rozwojem niebywałym techniki, nasze idee społeczne i polityczne, nasza moralność i odwaga do tychczas nie osiągnęły odpowiedniej ekspansji...”

„Dławiemy się produktami spożywczymi i głodujemy. Życie ekonomiczne jest zagwożdżone, a cały świat próbuje różnorodnych eksperymentalnych kontroli i przepisów. Olbrzymie warstwy naszej ludności pozostają w niedostatku, stroskane i zbiedzone i — co najgorsze — niezatrudnione i beznadziejnie zniechęcone. Miliony cierpią dotkliwą fizyczną nędzę... I w obliczu nadprodukcji to się odczuwa jako nędzę niepotrzebną i niczym nieuzasadnioną”.

Inny myśliciel, nowoczesny Amerykanin dr Carrel, w swej głośnej książce pt. „Człowiek — istota nieznaną” napisał: „Dziś podstawy cywilizacji technicznej powinny być zwalczane z taką samą niesłabnącą energią, jak w czasie encyklopedystów zwalczany był stary porządek... Chcąc odnowić osobowość, musimy połać dzisiaj ramy fabryk i odrzucić cywilizację maszynową... W przeszłości istniały systemy organizacji przemysłowej, przy których robotnik miał możliwość posiadania domu i ziemi, mógł pracować u siebie jak i kiedy chciał, znajdował w pracy zastosowanie swej in-

teligencji, wyrabiał całkowite produkty (w swym od niego zależnym warsztacie), nie zaś ich drobne cząstki (jak w dzisiejszych fabrykach), miał radość tworzenia”.

I Wells i Carrel mają poniekąd racje, gdyż maszyna w wielkim przemyśle nowoczesnym, prowadzona ręką bezdusznych na ogół kapitalistów, sprawia, że w wytwórczości dzisiejszej wszystko jest przypadkowe i nieobliczalne — i prowadzi do jakiegoś zbliżającego się coraz wyraźniej ogólnego zamętu.

Już dziś połowa globu jęczy pod ciężarem maszyn — i przed zatrwożoną ludzkością staje groźne przewidywanie Cabeta, który pisał w „Podróży do Ikarii”: „Rycząca i dysząca maszyna niesie w swoim rozrzanym brzuchu żelaznym nieobliczone, małe rewolucje wszelkiego rodzaju, z których złoży się kiedyś wielka rewolucja powszechna”.

I dlatego w naszych czasach coraz częściej słyszymy głosy tych, którzy ostrzegają ludzkość przed grozą zinechanizowanej cywilizacji. Są to tzw. „maszynoburcy”, o których Kazimierz Hałaburda w swym niedawno wydanym studium o kryzysie nowoczesnej cywilizacji technicznej pisze: „Wiek XX zrodził „maszynoburców”: Początkowo jeno utopiści-literaci snuli raz po raz fantastyczne baśnie na temat „buntu maszyn” i „człowieka-niewolnika”. Stopniowo jednak myśl ta zaczęła przenikać i do polityki... Do obozu „maszynoburców” przyłączyło się wielu społeczników... Maszyna w ich pojęciu z dobrego ducha przeobraziła się w demona. „Maszynoburcy” kroczą pod hasłem: „maszyna zabija człowieka”.

„Maszynoburcy” są jednak niekonsekwentni — piorunując na fabryki i maszyny, powinni podróż z Krakowa do Wilna, czy z Poznania do Lwowa odbywać bryką, a radioaparaty wyrzucać przez okno — jednak nie wdajemy jakoś tych „budujących przykładów”.

Podobną myśl o niekonsekwencji „maszynoburców” wyraził niedawno w swym referacie pt. „Elementy cywilizacji i technika” Ryszard Świętochowski, mówiąc w ten sposób: „Kwestia jest nader zawiła. Gdyby jakiś dziwak usłuchał rad apostołów idei powrotu do natury i pojechał do Krakowa furmanką w imię protestu przeciwko cywilizacji, to możnaby mu zwrócić uwagę, że nadal korzysta z dobrodziejstw cywilizacji wielowiekowej. Bo i ta furmanka i szosa i koń podkuty, a nawet fakt, że koń jest oswojony i zgadza się ciągnąć wóz — wszystko to razem nie należy do zjawisk samorodnych, lecz jest wynikiem długiej pracy cywilizacyjnej. A w takim razie gdzie linię demarkacyjną przeprowadzić? Na jakim poziomie cywilizację przyjąć, a na jakim odrzucić? Czyżby należało się cofnąć do przedhistorycznych czasów i boso, przykrywając się skórą wilka, z ułamaną gałęzią wędrować do Krakowa, który, jako produkt cywilizacji, powinien być zburzony?”

Wydaje się więc, że hasło: „niszczyć maszyny” jest absurdem. A tymczasem takie hasło istnieje. W lecie roku bieżącego — jak doniosło jedno z pism warszawskich w art. „Niszczyć maszyny!” — w Warszawie obradował „Kongres Międzynarodowego Zjednoczenia Włókiennego”. Wśród referatów i wniosków, jakie stanowiły przedmiot obrad przedstawicieli przemysłu włókienniczego z całego świata, uwagę zwracał specjalnie jeden wniosek, który pochodził od angielskich przemysłowców, a zmierzał do zahamowania nadprodukcji w włókiennictwie. Nadprodukcja ta ma być mianowicie po-

wstrzymana w bardzo oryginalny sposób. Otóż Anglicy żądali, aby na świecie zredukować olbrzymią ilość wrzecion bawełnianych, część ich opieczetować i unieruchomić, a ponadto część zniszczyć, poprostu zdruzgotać na złom...

Inicjatywa ta dowodzi, na jakie manowce zeszedł ustrój wielkiego przemysłu, skupionego w rękach kapitalistów międzynarodowych, który doszedł do rozkwitu w wieku XIX, „wieku pary i elektryczności”, wieku — maszyny.

Produkcja mechaniczna, maszynowa — to był wszak ideał, do którego z całych sił parła wynalazczość ludzka. Miliony wrzecion i krosien, miliony warsztatów ręcznych musiały ustąpić wciąż udoskonalanym maszynom, produkującym przy minimalnej pomocy ludzkiej tkaniny bawełniane i wełniane. Miliony ludzi traciły pracę na rzecz maszynowej produkcji.

I oto widzimy zwrot w biegunowo przeciwnym kierunku; pada hasło: maszyna — to wróg! niszczy maszynę! Maszyna bowiem produkuje nadmiar towaru, nie znajdującego nabywcy. Maszyna wypełnia magazyny, w których towar butwieje.

Zachodzi jednak pytanie: czy faktycznie tego towaru jest na świecie za wiele? Bynajmniej! Widzimy wszakże wokół siebie ludzi, nie mających się w co ubrać, ludzi noszących ubrania o wytartych łokciach... Tylko że ci ludzie nie mają za co sprawić sobie odpowiedniej ilości bielizny i wierzchniego odzienia... Między ich dochodami a potrzebami życiowymi rozwiera się coraz większa przepaść...

Stąd to wywodzi się ten obłęd zarówno w produkcji, jak i w wymianie towarowej: w Ameryce pali się miliony bel bawełny, wrzuca się do morza miliony worków kawy (gdy w tym samym czasie miliony ludzi chodzi w podartych, wyszarzanych ubraniach i miliony głodują). A teraz dochodzi do tego wniosek angielski: niszczyć maszyny”.

Widzimy w tym wszystkim jakieś nieporozumienie, jakieś błędne koło... Czyż możliwe jest, że sam postęp techniczny zagraża człowiekowi, że maszyna, która ułatwia pracę i podnosi poziom codziennej kultury życiowej — jest naszym wrogiem?

Wydaje się, że winę w tym chaosie, jaki został wywołany przez maszynową cywilizację, ponosi nie martwa maszyna, narzędzie rąk ludzkich i geniuszu ludzkiego — ale sam człowiek, jego wady duchowe — jak zachłanność, wyzysk, chęć wykorzystywania wynalazków przez klasę bogaczy z krzywdą biedaków...

Dlatego ci, którzy w sposób rozumny krytykowali nadużycia nowoczesnej techniki — jak np. słynny przywódca Hindusów Gandhi — nie powstają przeciwko samej maszynie, lecz przeciw niewłaściwemu jej użyciu.

Dla Gandhiego w cywilizacji maszynowej jedynie i istotnie ważnym jest zawsze tylko człowiek: „Maszyna”, powiada Gandhi, „nie powinna absolutnie przyczyniać się do kalectwa i niszczenia członków ciała ludzkiego. Gdy od robotnika nie będzie się wymagało za nadto wielkiego wysiłku, wówczas maszyna nie będzie niebezpieczeństwem dla niego, lecz stanie się raczej błogosławieństwem...”

„Aby to mogło nastąpić, należy w cywilizacji maszynowej dążyć do zmiany warunków pracy w tym kierunku, aby raz nareszcie skończył się ów szalony pościg za pieniądzem, aby pracownik otrzymywał wystarczające mu wynagrodzenie, aby praca jego nie była, jak dotąd, prawdziwą niewolą. Pod tymi warunkami mogłaby maszyna przynieść pożytek zarówno pracującym przy niej ludziom, jak i państwu. Kiedy raz wreszcie skończy się ów szalony wyścig za pieniądzem u gromady międzynarodowych kapitalistów, wówczas i pracownicy będą mogli prowadzić żywot wolny, przy odpowiednich warunkach”.

Widzimy więc, że Gandhi zwalcza maszynę tylko wówczas, gdy zamiast oszczędzać pracy człowiekowi



Przyjemności zimy.

JÓZEF JANOTA-BZOWSKI

3)

KORZYŚCI DLA RODZICÓW, PŁYNAĆCE ZE WSPÓŁPRACY RODZINY I SZKOŁY

1. Korzyści natury organizacyjnej i ogólnospołecznej.

Rodzice, którzy do danej chwili pracą społeczną się nie zajmowali i których zainteresowania nie wybiegały poza sferę spraw indywidualnych własnego dziecka — w pracy szkolno-rodzicielskiej znajdują doskonałą szkołę roboty zorganizowanej, ujętej w uporządkowane normy współzycia.

W samej rzeczy uzgodniony na drodze dobrowolnej przez założycieli koła rodzicielskiego z kierownictwem szkoły statut koła stwarza to tak ze wszech miar pożądane ustabilizowanie norm współpracy. Normy te dają rodzicom możliwe maksimum głosu i uprawnień, a tym samym możliwości dla rozwinięcia ich twórczej inicjatywy, zabezpieczają jednocześnie prawa szkoły i jej życie wewnętrzne przed nieuzasadnionym wkraczaniem rodziców w wewnętrzne sprawy szkolne. Znalezienie tego złotego środka jest jednym z największych walorów dobrze obmyślonemu statutowi koła.

Ci z rodziców, którzy mają zadatki instynktu społecznego, prędko się w tej robocie szkolno-rodzicielskiej rozsmakowują, znajdują w niej wiele wewnętrznego zadowolenia i stają niepostrzeżenie do szeregu pożytecznych pracowników społecznych. Mamy możliwość zaobserwować tu przejaw, niezmiernie doniosły dla kulturalnego życia, kraju, że do pewnej pożytecznej pracy,

pracy dla przyszłości, wydobywa się z całej masy społeczeństwa wolne dotąd, świeże i nieprzeciążone siły z rzędu tych, które dla dobra publicznego żadnej jeszcze nie złożyły ofiary.

I nie ma bodaj drugiej pracy społecznej, w której splatały się tak organicznie i harmonijnie interes jednostki z interesem ogółu, i w której tak wielka siła motoryczna, jaką jest miłość do własnego dziecka, przetwarzała się z taką łatwością na walory społeczne. Myślący rodzice, oddani sprawie własnych dzieci, najprzód przyglądają się ich życiu w szkole, wkrótce jednak zaczynają się żywo interesować sprawami środowiska, w którym się dzieci te obracają, a więc szkołą, do której je oddali, całym życiem szkolnym z jego różnymi przejawami, kolegami dzieci i całą młodzieżą danej szkoły. Automatycznie zainteresowania ich przesuwają się dalej. Bo wszak szkoła, do której dzieci ich uczęszczają — to jedna z tysięcy innych szkół, rozsianych szeroko po ziemiach polskich, a młodzież danej szkoły — to tylko cząstka młodzieży innych szkół i całej młodzieży polskiej. W umysłach i sercach myślących rodziców, te rzeczy zaczynają się wiązać w jedną harmonijną i nierozzerwalną całość. Przy tym drogi i kategorie myślenia rodziców się zmieniają, rozszerzają, uszlachetniają. Dodatni postęp ich dziecka zaczyna ich cieszyć nie tylko sam w sobie, ale jako dobry

i stwarzać łatwiejsze warunki bytu dla ogółu — służy ona tylko bogatej mniejszości, a pracującym masom przyczynia olbrzymie szkody.

Nie możemy występować przeciwko postępowi technicznemu jako takiemu, gdyż to byłoby zacołanstwem. „Postęp techniczny — jak słusznie podkreślił H. Ford w pracy „Moje życie i dzieło” — może uwolnić człowieka od zwierzęcych trudów, oswobodzić jego energię do kształcenia sił duchowych, do zdobyczy na polu umysłowym i do wyższego rodzaju prac kulturalnych”.

W tym samym duchu wyraził się obecny Ojciec św. Pius XI w końcu paździenika rb., gdy z okazji posłuchania, udzielonego uczestnikom dorocznego zjazdu włoskich stowarzyszeń elektrotechnicznych, przemówił o postępie nowoczesnej techniki.

Papież oświadczył, że stanowczo nie zgadza się z tymi, którzy sądzą, iż dla położenia tamy szalejącemu nad światem kryzysowi dobrym środkiem byłaby przerwa i pewna pauza w postępach techniki. Przekonany jest natomiast, że takie przetrwanie jej rozwoju nie byłoby lekarstwem przeciwko chorobie świata współczesnego, gdyż jeśli jest rzeczą oczywistą, że istnieje kryzys także ekonomiczny, to zawsze trzeba pamiętać i zdawać sobie sprawę, że w gruncie rzeczy jest on kryzysem moralnym.

To, co powiedział Papież, przenika do świadomości ogółu coraz silniej — mianowicie fakt, że maszynowa kultura bez równoczesnego rozwoju ducha i kontroli sumienia — zawodzi, prowadząc do szarego, zmechanizowanego życia, pełnego udręki i straszliwego egoizmu.

I dlatego myśl współczesna cały punkt ciężkości życia zbiorowego zaczyna przenosić wewnątrz samego człowieka — do jego woli i sumienia. Przeżycie wewnętrz-

ne człowieka, jego siłę motoryczną woli, wyzwalać się w czynie, uważa się już dziś wśród głębiej myślących ekonomistów i polityków, za sprężynę główną państwowej rzeczywistości.

To bankructwo cywilizacji maszynowej bez równoczesnej uprawy sumienia podkreślają już najbardziej światłe umysły nowoczesne.

„Bliski jest czas”, mówi słynny pisarz włoski G. Ferrero, „kiedy społeczeństwa zachodniej cywilizacji odwrócą się od ideału maszynowej potęgi do ideału duchowej doskonałości — jako niezmiennego celu ostatecznego, bez którego ludzki duch nigdy obejść się nie zdoła”.

A więc technika, energia maszyny musi być dopełniona przez energię charakteru — wtedy technika dokona cudów! Radio, film — propagujące idee zdrowe — mogą człowieka przemienić i uczynić z niego bohaterem!

„Gdy słyszymy — mówi ks. Oraczeński w swej pracy „Bóg — czy postęp?” — z odległości tysięcy kilometrów cudowny śpiew, podniosłe słowa — to jest rzeczywistością triumf geniuszu człowieczeństwa. Ale te same fale eteru mogą nieść zatrucie, niechęć i rozpacz!... Nie! Nie jesteśmy wrogami cywilizacji i techniki! Jesteśmy ludźmi nowoczesnymi, dumnymi z tego, że żyjemy w wieku dwudziestym, tak trudnym, tak wspaniałym, tak potężnym... Widzimy tylko, że dziś nastął moment wyboru: ku czemu ludzkość skieruje swą technikę, swe wynalazki i maszyny: czy ku miłości i współczuciu — czy też ku pogwałceniu i przemocy?... Technika, produkt genialnej myśli, ale kontrolowana przez serce — oto co rzeczywistość zapewnić może skołatanej ludzkości lepszą dolę”.



Zimowy krajobraz japoński.

przykład i zachęta dla innych, ujemny, przeciwnie, martwić, jako szkoda dla otoczenia. Ocena zjawisk staje się bardziej bezstronną i sprawiedliwą. Jeżeli za popełniony zły czyn czeka dziecko kara, to, zapewne, w gabinecie dyrektora czy przełożonej, przy traktowaniu sprawy indywidualnym, rodzice będą się starać o jej złagodzenie; ale na terenie organizacji rodzicielskiej, której zadaniem jest piecza o dobro całej młodzieży — ustosunkują się niewątpliwie do danego faktu z o wiele większą surowością, rozumiejąc, że czy to zawiniło ich dziecko, czy czyjeś inne, musi ono, jako część całości, dla przykładu ponieść konsekwencje swego czynu, zorganizowani zaś rodzice powinni ten społeczny pierwiastek sprawy należycie uszanować.

W tej harmonijnej atmosferze współpracy dla wytkniętego a bliskiego wszystkim celu uzgadniają się rozbieżne poglądy, uciszają się polityczne czy społeczne rozdziewiki. Koło rodzicielskie grupując ludzi o różnych przekonaniach, a cementując ich jedną wspólną ideą, wierne zasadzie apolityczności i ponadpartyjności — stanowi czynnik zgody i harmonii społecznej.

W tej atmosferze współpracy na tle tak odmiennego od rodzinnego zbiorowego wychowania szkolnego, budzi się, rozwija i pogłębia wśród rodziców i czynników szkolnych poczucie i zrozumienie tym większego znaczenia rodziny w wychowaniu i jej wielkiej niezastąpionej roli, jako komórki społecznej, i jako ogniska wychowawczego, którego najlepsza nawet szkoła zastąpić nie może.

Mając odpowiedni punkt w statucie oraz poparcie ze strony szkoły, zorganizowani w kole rodzicielskim rodzice mogą w tej dziedzinie zrobić bardzo dużo. Zebrania, pogadanki i odczyty na gruncie szkolnym, urządzenie dnia matki, obchody choinkowe o nastawieniu rodzinnym, odpowiednie zaopatrzenie i wykorzystanie biblioteki i czytelnicy — wszystko to są drogi, na których kult idei zdrowej rodziny, rodziny, jako instytucji społecznej, może się rozwijać i pogłębiać. A pogłębiać go trzeba, bo chaos pojęć w tej dziedzinie trwa, i szerzą się w społeczeństwie poglądy, rozbijające rodzinę.

Istniejące przy szkołach zrzeszenia rodzicielskie w trosce o dobro kształcącej się w nich młodzieży są powołane do tego, aby się tą doniosłą sprawą zajęły.

Jest jedna dziedzina pracy, w Polsce jeszcze bardzo mało znajdująca zastosowania, a społecznie niesłychanie ważna, w której harmonijne współdziałanie rodziny i szkoły może nieocenione oddać usługi.

To — praktykowane za granicą w krajach, dbających szczególnie o instytucję rodziny, przysposobienie młodzieży do jej przyszłych zadań wychowawczych i rodzinnych. Trzeba by tylko, aby szkoła mając odpowiednio dyrektywy z góry, sama tą ideą żywo się przejęła, przepoiła jej duchem życie szkolne i w programie szkolnym dla tej pracy odpowiednie miejsce znalazła. Sprawa ta wymaga gruntownego przepracowania, ale z punktu widzenia korzyści rodziców jest niesłychanie ważna.

2. Korzyści natury wychowawczej w sensie samowychowania rodziców.

Ale nie tylko dziedzina ogólnych zasad i ideałów znajduje realizację na gruncie współpracy rodziny i szkoły. Rodzice sami się bezpośrednio w tej współpracy kształcą i wychowują. Tam, gdzie nawet inicjatywa koła rodzicielskiego z tych czy innych powodów byłaby słabsza, a natomiast aktywnie rozwijałaby się podobna inicjatywa szkoły, powinni ją rodzice należycie wykorzystać. Dążeniem ich jednak i ambicją powinno być rozwinięcie samych jak najszerszej pracy samowychowawczej i obudzenie sił twórczych własnego środowiska.

Organizowane w ramach programu koła rodzicielskiego przy udziale czynników szkolnych odczyty i zebrania dyskusyjne, krzewienie odpowiedniej literatury i czytelnictwa — nastawiają cały świat myśli danego ośrodka na tory, sprzyjające urabianiu pojęć rodziców i ich uzdolnień wychowawczych, wzmacniają więzy, wiążące je ze szkołą, przyczyniają się wydatnie do podniesienia poziomu środowiska. W łonie koła rodzicielskiego w stopniu o wiele silniejszym, niż w poprzednio wzmiankowanym, nieorganizacyjnym współżyciu ze szkołą dzięki większej spójni członków i ofiarnego oddania do dyspozycji własnej organizacji doświadczenia pedagogicznego i praktyki wychowawczej jednych, wnikliwość psychologicznej drugich, naukowego przygotowania bądź daru wymowy innych — kształci się przy wymianie myśli intelekt rodziców, podnoszą się ich zasoby moralne, wyrabia się poczucie narodowe, obywatelskie i państwowe. Żebyż tylko ogół rodziców zechciał w należytej mierze z dobrodziejstw, jakie im daje własna organizacja i współpraca w niej ze szkołą, korzystać.

Za granicą w niektórych ośrodkach szkolno-rodzicielskich istnieją nawet specjalne szkoły i instytuty samowychowania rodziców. Dlaczegożby Polska, mając całą sieć organizacji rodzicielskich, szereg naukowych instytucji pedagogicznych i wysoko postawione szkolnictwo, nie miała się o stworzenie u siebie podobnych placówek pokusić?

3. Korzyści płynące dla zorganizowanych rodziców z ułatwienia im przez współpracę ze szkołą wychowania młodzieży.

Korzyści rodziców z współpracy rodziny i szkoły na gruncie zrzeczeń rodzicielskich uwydatniają się jeszcze więcej, jeżeli spojrzymy na nie pod kątem ułatwień w wychowaniu młodzieży.

Wystarczy wziąć do ręki ten czy inny racjonalnie i bardziej szczegółowo opracowany statut koła rodzicielskiego, program jego działania w Polsce współczesnej, bądź dające obraz ich realizacji sprawozdanie z działalności któregoś z kół, sprawnie pracujących w porozumieniu i harmonii ze szkołą, aby się przekonać, jakie nieograniczone możliwości daje ta współpraca i jakie korzyści osiągnąć z niej mogą rodzice w zakresie ułatwień w wychowaniu młodzieży. Praktyka kół rodzicielskich je w zupełności potwierdza.

Koło rodzicielskie, a ściślej mówiąc, jego zarząd, jest do pewnego stopnia pośrednikiem w sprawach ogólnych pomiędzy rodzicami a szkołą, i odwrotnie, jest pośrednikiem rodziców rzecznikiem postulatów szkoły.

Mówimy: w sprawach ogólnych. Bo koło, jako organizacja, sprawami ucznia-jednostki mniej się stosunkowo zajmuje, chociaż i tu niejednej biedzie zaradzić, niejedną łzę dziecka czy stroskanym rodzicom otrzeć jest zdolne.

Głównie wszelako jednostka interesuje koło, jako symptom, jako część całości. Ale aby sobie z tej całości móc zdać należyte sprawę, koło poprzez powołane do tego swoje organy musi znać indywidualnie młodzież i ich rodziców oraz ich warunki życiowe.

Dlatego to tak wielką rolę przywiązujemy w kole rodzicielskim do należytej funkcjonującej komisji opiekunek klasowych, bo ona przez jednostki ofiarne, obdarzone macierzyńskim sercem i rozumem, ma możliwość wnikać głęboko w środowisko i swoje spostrzeżenia komunikować zarządowi koła, a gdy trzeba, to i odpowiedniemu wychowawcy szkolnemu, wywołując odpowiednie reakcje — indywidualne czy zbiorowe. To związanie jednostki z całością realizuje się tu w sposób niezmiernie subtelny i harmonijny.

I na tym oto tle jak wyglądają korzyści rodziców w zakresie ułatwień w wychowaniu młodzieży?

* * *

A więc najprzód — wychowanie religijno-moralne.

Fizjognomia duchowa dzisiejszej młodzieży jest o wiele więcej skomplikowana, niż w pokoleniach dawniejszych. Sa to dzieci anormalnej doby wojennej i powojennej. Mają w naturze o wiele więcej nerwowości, niepodległości, skrytości, egoizmu, pewności siebie i nieuczynawania autorytetu, krwicyzmu, pozytywizmu, samodzielności, nieraz samowoli; wcześniej poznają życie; mają aż nazbyt wiele swobody w obcowaniu obojga płci; są bardziej wrażliwe na wpływy otoczenia, zarówno dobre jak złe. Złych zaś dziś jest, niestety, więcej, a zaliczyć do nich trzeba krzyś moralny i materialny w rodzinach, niezdrową, bardzo rozluźnioną atmosferę życia publicznego, destrukcyjne prądy, wiejące od wschodu. W tych warunkach, przy tym zachowaniu równowagi pomiędzy siłą wpływów czynnika wychowującego, a siłą oporu obiektu wychowywanego, niezbędna jest zdwojona czujność w sprawie wychowania młodzieży. Samo wychowanie w rodzinie, czy też nawet najidealniejsze wychowanie szkolne nie wystarcza. Trzeba tu działania zbiorowego, skoordynowanego i zorganizowanego, i to nie tylko w sensie możliwości bezpośredniego oddziaływania na jednostki czy grupy młodzieży, nie tylko w sensie trafienia z wpływem do szerszych kół społecznych, ale i ogarnięcia całokształtu tych różnorodnych zjawisk i tych czynników, pod których wpływem formuje się dusza współczesnej młodzieży.

Koordynowanie całokształtu oddziaływań czynników wychowawczych, do których poza najbliższymi — rodziną i szkołą — należą takie czynniki, jak: Kościół, państwo, społeczeństwo, wpływy zewnętrzne — stanowi atrybucje szerszych konglomeratów społecznych; poideńcze koło rodzicielskie jest tu za słabe. Wszystko to jednak, co dotyczy danej szkoły, uczeszczej do niej młodzieży i jej rodziców — może być w dużej mierze z powodzeniem wykonane na drodze uprawnień koła rodzicielskiego oraz współpracy domu i szkoły.

Trzeba tylko, aby na serdeczne odniesienie się rodziców szkoła odpowiedziała takim samym serdecznym uczuciem, a dla dzieci umiała stworzyć w swoich mu-



rach ciepłą rodzinną atmosferę, której, jak kwiat słońca, potrzebuje wrażliwa dusza dziecka. Ta ciepła atmosfera da szkole klucz do duszy młodzieży, w niczem nie zmniejszając koniecznej w życiu zbiorowym dyscypliny.

Rodzice, i indywidualnie, i organizacyjnie poprzez koła rodzicielskie, rozporządzające środkami niedostępnymi dla jednostek, oraz przez kolaborację ze szkołą mogą wydatnie wpływać na poprawę stosunków wychowawczych. A więc: roztoczyć opiekę nad ośrodkami rodzinnymi, jako ogniskami domowymi wychowania dziecka i uzupełniać w miarę możliwości wraz ze szkołą braki wychowania domowego; potrzytywać i rozbudzać w porozumieniu z ks. prefektem szkolnym uczucia religijne młodzieży i przestrzegać wykonywania przez nią praktyk religijnych; urządzać dla niej podnoszące jej uczucia moralne konferencje; oddziaływać na rozwój organizacji młodzieży; regulować wpływy środowiska koleżeńkiego, starając się wpływać na eliminowanie elementów, szerzących zgorzenie; roztoczyć opiekę pozaszkolną nad młodzieżą; usuwać z jej drogi wszelkie niepożądane wpływy, a jednocześnie wzmacniać dodatnie oddziaływanie pozytywne przez dobrą lekturę, dobry film i teatr; prowadzić świetlice, opiekować się bursami i stancjami itd., itd.

Wiele bardzo korzyści w zakresie wychowania moralnego młodzieży przysparza tak rodzicom jak szkole, posiadanie przez koło rodzicielskie owego mandatu obustronnego pośrednictwa. Wiele dezyderatów rodziców, słusznych i z dobrem młodzieży związanych, o których szkoła zupełnie łatwo mogła nie wiedzieć — dochodzi w ten sposób do jej świadomości; i, odwrotnie, życzenia i postulaty szkoły w stosunku do ogółu rodziców znajdują skuteczne podtrzymanie i poparcie, o ile ich rzecznikiem staje się wybrane przez ten ogół władze koła rodzicielskiego. Te opinie łatwiej nieraz trafią do przekonania szerokich sfer rodziców, aniżeli powtarzające się z urzędu i spowszedniałe poniekąd namiętności władz szkolnych.

W wypadkach, w których trafiłyby się jakieś niedopatrzania, czy niedociągnięcia ze strony personelu szkolnego, koło rodzicielskie może na drodze współpracy z kierownictwem szkoły, a gdyby tego zaszała potrzeba, to w drodze interwencji u wyższych władz szkolnych, zabiegać w imię dobra młodzieży o usunięcie zła i racjonalną poprawę stosunków. Posiadanie mandatu społecznego daje tu o wiele większe uprawnienia i możliwości, niż działanie w charakterze jednostki prywatnej.

Jako prawdziwy, szczerzy sprzymierzeniec i przyjaciel szkoły, koło rodzicielskie w stosunku do niej, podobnie, jak i szkoła względem rodziców, nie zawsze może widzieć tylko same światła. Musi widzieć i cienie i na nie odpowiednio szczerze reagować. W stosunku przyjaźni o wiele milej jest chwalić, niż ganić; dlatego żywej krytyczna uwaga jest nieraz więcej warta, niż stopy spalonych nieszczerych kadzideł. Musi być tylko we właściwy sposób, we właściwym czasie i na właściwym miejscu zrobiona.

W zagadnieniach bardziej skomplikowanych i spornych, jak: sprawa koedukacji, nierzadko spotykanych tendencji i niewłaściwych metod uświadamiania młodzieży przez szkołę, zapewnienia należytej przyzwoitości przy publicznych sportowych ćwiczeniach dziewcząt, sprawy ich wojskowego przysposobienia, zbyt swobodnego nieraz zakresu lektury szkolnej, pism, wydawanych przez młodzież — korzyść rodziców z uregulowanego na zasadach szczerości i zaufania organizacyjnego stosunku ze szkołą i współpracy z jej władzami są nieobliczalne; przybywa przy tym obu stronom wiele spokoju moralnego z racji, iż nie są odosobnione i bez-

PIELGRZYMKI DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

PIERWSZA PO ROCZNEJ PRZEREWIE

Jerozolima, Betlejem, Jerycho, Morze Martwe, Nazaret, Kana Galilejska, Tyberiada, Kafarnaum, Góra Tabor, Karmel, Ateny, Konstantynopol.

14. II — 8. III 1937. Zł 950.

LIGA KATOLICKA: Katowice, Pilsudskiego 58.

„FRANCOPOL”: Warszawa, Mazowiecka 9 i ajencje:

Bielsko, Wzgórze 19

Katowice, Dworcowa 18

Kraków, Sw. Jana 1

Lwów, Chorążczyzny 15

Poznań, Sw. Marcin 58

radne w sprawach, stanowiących nieraz treść i radość ich życia.

Zdawałoby się, że sprawa intelektualnego rozwoju młodzieży w wieku szkolnym jest już całkowicie domeną szkoły, i że jej pod tym względem współpraca z rodzicami niewiele rodzicom tym może już przynieść korzyści.

Rzecz ma się przeciwnie. Jak była mowa w jednym z rozdziałów poprzednich, już przy kontakcie indywidualnym ze szkołą, rodzice duże mają ułatwienie w kształceniu i rozwijaniu umysłu dzieci przez nabycie od szkoły umiejętności nadania dziecku bardziej regulaminowego, dającego więcej czasu, trybu życia w domu, dopilnowania jego nauki i opanowania materiału szkolnego itp. Przy współpracy organizacyjnej te korzyści znacznie się poszerzają.

Kontakt ze szkołą i należyte orientowanie się w systemie i programie nauczania oraz przerabianym przez uczniów kursie, pozwala rodzicom podsuwać młodzieży w domu odpowiednią lekturę, rozbudzać jej zamiłowania, urządzać wspólne czytania itp., przyczyniające się do lepszego opanowania przez nią kursu i pogłębienia wiadomości. Zaopatrywanie wspólnym ze szkołą wysiłkiem bibliotek i czytelni szkolnych, pracowni i gabinetów naukowych, nabywanie latarni projekcyjnych, przezroczy, aparatów filmowych itp. podnoszą intelekt młodzieży, zadowoleniem i radością z powodu jego rozwoju napełniając serca rodziców. Ten sam pożytek dają odpowiednie odczyty, zwiedzanie zbiorów, muzeów, galerij, szkół wzorowych z ich nowymi środkami technicznymi i metodami nauczania itp.

A ileż troski, a nieraz ciężaru materialnego, zdejmuje z ramion rodziców urządzone przez koła rodzicielskie w porozumieniu z odpowiednimi nauczycielami, korepetycje indywidualne czy grupowe dla słabszych uczniów (naturalnie wtedy, kiedy oni uciekają się do nich z istotnej potrzeby, a nie nadużywają ich dla prostego lenistwa, lub z powodu nieuwagi na lekcjach).

Do tej samej dziedziny należy ułatwienie rodzicom przez zorganizowaną współpracę rodziny i szkoły wychowania kulturalnego — kształcenia smaku estetycznego i uzdolnień artystycznych młodzieży. Urządzanie wspólnym wysiłkiem chórów i orkiestr szkolnych, popisów i przedstawień teatralnych, kształcenie talentów, ułatwienie młodzieży korzystania z przystępnych biletów do teatrów czy na koncerty, zaznajamianie się ze stylami architektury, zachęcanie jej do przyozdabiania sal szkolnych kwiatami czy artystycznymi dekoracjami, nauka rysunków, malarstwa, artystycznych robót ręcznych, modelarstwa itp., urządzenie wystaw prac uczniowskich, urządzenie nawet estetycznie pomysłanych zabaw czy rozrywek szkolnych — wszystko to, podnosząc kulturę młodzieży, pośrednio odbija się dodatnio na rodzicach, dając im przy tym moralne przeświadczenie, że posiadanych w rękach dróg oddziaływań kulturalnych na młodzież nie zaniedbali i pod tym względem swój obowiązek przy współdziałaniu szkoły spełnili.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JANINA WELKE SIWKOWSKA

WZDŁUŻ WSCHODNIEGO

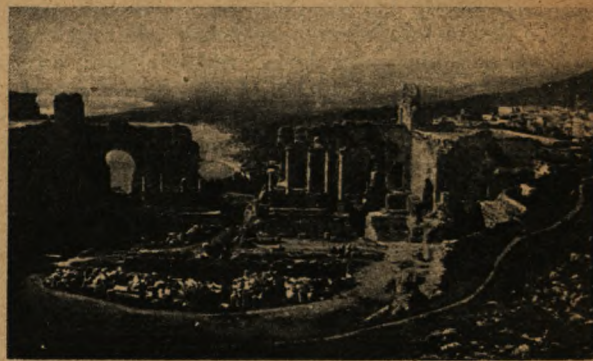
W Villa San Giovanni następuje pożegnanie z Półwyspem Apenińskim. Olbrzymi prom z załadowanym nań pociągiem pruje ostrym dziobem szafirowe wody Stretto di Messina. Stały ląd zasnuwa się powoli jasnoblękitną mgłą... Z oddali zbliża się czarodziejskim wdziękiem sławna — primavera Siciliana — zaklęta w raj kwiatów i słońca. — Wyraźniej już opalowy brzeg wyspy. Ciemniejsze i jaśniejsze plamy wzgórz, po tym — bardzo jasne, prawie białe plamy zabudowań... — Messina. Prom żółtym na pozór ruchem posuwa się naprzód, odwalając pracowicie potężne skiby spienionej wody. Miasto, przybliża się, leci coraz szybciej, wita słoneczną bielą domków i pagórków, wreszcie przygarnia gościnnie na cichych wodach portu. —

Messina! Miasto w nowej szacie, miasto radosne, a przecież kryjące w sobie pamięć nieszczęść dziejowych i trzęsienia ziemi.

Z wody wyrasta wysoka kolumna. Na jej szczycie króluje zło-



„Caretto Siciliano” (Pojazd sycylijski).



Taormina. Teatr Grecki.



Taormina. Fragment Teatru Greckiego.

Taormina. Etna.



Taormina. Isola Bella i Przylądek Taormina.



Taormina. Pałac Corvaja.



Taormina. Stare Opactwo.

Taormina. Zegarowa wieża.



Taormina. Migdał w rozkwicie.



WYBRZEŻA SYCYLII...



Taormina. Krajobraz.



Taormina. Ogród publiczny.



Taormina. Kościół Św. Augustyna.

Taormina. Panorama.

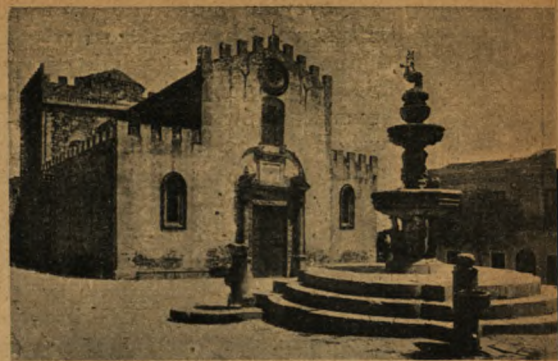


cisty posąg Madonny, błogosławię nieszczęśliwemu miastu. —

Z promu — przesiadka na ląd — i w drogę. Pociąg leci brzegiem wyspy w kierunku południa. Morze Jońskie skrzy szafirem, na ciemnym błękitie nieba pali się gorące słońce, przez otwarte okna pociągu wpływają wonie kwitnących ogrodów...

Luty — a więc kwitną migdały, różowe migdały o delikatnej koronce obsypanych kwieciami gałęzi...

Falstą linią pagórków płyną gaje pomarańcz i cytryn. Krajobraz śmieje się milionami słonecznych światełek, utajonych w krągłych kulkach owoców. Powietrze jest przesycone pomarańczowym zapachem. — Z kalejdoskopową różnaitością wpadają w ramy okienne przedziału — precudne obrazy bogatej sycylijskiej przyrody. — Tor kolejowy leci śmiałą linią nad samym brzegiem morza, to znowu wrzyna się w pagórki, lub wije wśród gajów pomarańczowych, wśród oliwek, kaktusów i palm. —



Taormina. Katedra.



Taormina. Isola Bella i Przylądek Św. Andrzeja.



Taormina. Przylądek Mazzaro.

Taormina. Zaułek.

Taormina. Ulica Rybaków.



Sycylia mówi do wszystkich zmysłów. — Morze chluszcze o brzeg, strzela w górę iskrami rozbitej wody i opada mgławym perlстым welonem... Ostry zapach morza wymienia się co chwilę na ciepły zapach wiosennych kwiatów... Pachną róże — Na małej stacyjce ktoś wsiadł do pociągu. Rozległy się słowa piosenki... Męski, rozkołysany uczuciem głos tęsknie wielbi, przyzywa: „O Signora Fortuna!”...

Godzina drogi — minęła jak chwila. Pociąg zwalnia biegu i — ukazuje się Taormina, niegdyś starożytne Tauromenion, zbudowane na górze Tauros. W krajobrazie lśni srebrnym błękitniałych śniegów — Etna. Jasny pióropusz dymu płynie w powietrze mgławą, falistą wstęgą. Morze weina się w łód szerokim półkolem zatoki. Serpentyń, a w górze — miasteczko średniowiecznych kaszteli, jeszcze wyżej — gdzieś pod niebem — Monte Castello, szczyt skalny z ruinami Akropolu; zamek był strażnicą miasta Tauromenion. — Na drugim szczycie skalnym — wioska Castel Mola. Ciężka walka o byt, ale ludziom dobrze żyć w błękitach. —

Droga pnie się pod górę wężowatą autostradą. Ogrody pyszną się wszystkimi tonami zieleni; pełno cyprysów i palm, pełno kaktusów... Mięiste tarcze fig indyjskich barwią się czerwienią podłużnych owoców. Gdzieś niedługo opada ku ziemi olbrzymią kitą kwiat agawy. Między zielenią tęcze kwiatów. Z olbrzymich waz spływają stumienie pachnących pnączy róż... Nad przepaściami ogrodów przytulają się do skał pałace i wille; róże i bluszcze oplatają mury.

Serpentyńa dobiegła końca. Miasteczko. Ciche średniowieczne miasteczko, mały rynek, w perspektywie — długa, wąska ulica. — Ale najpierw do starożytności. Przez rynek, boczną ulicą, potem mały zakręt wśród ogrodów i — wejście do teatru greckiego. Ruina, ale ruina dająca pojęcie o wspaniałej przeszłości zabytku! Olbrzym, wykuty w skalnym kamieniu, obliczony na 40 tys. osób, ma na sobie piętno rzymskiej przeróbki, niemniej pozostaje greckim. Koliska ław uległy zniszczeniu. Zachował się górny korytarz i kilkadziesiąt nisz. Na środku teatru zwaliska brył kamiennych, kolumn, potłuczonych kapiteli. — Przez wyłom w portalu wpada na scenę fala różowego światła. Czarodziejski krajobraz Taorminy, ujęty w kolumny portalu — płonie ciepłym, złotawym blaskiem...

Z teatru powrót tą samą drogą do miasteczka, do średniowiecza. Na małym rynku — przyciąga oczy przewagą złotoczerwonych, pomarańczowych barw — charakterystyczny pojazd sycylijski — „carratto siciliano”. Ścianki dwukolnego wózka pokrywają obrazy scen popularnych oper, wysokie koła malowane są również, a przy wózku stoi, ubrany w złocistokolorową uprząż, osiołek, dźwigający na głowie olbrzymi pióropusz różnokolorowych piór. Karetka nie ma stałych siedzeń, Sycylijczycy zastępują je krzesłami. Wokoło cicho; od czasu do czasu tylko ktoś przejdzie, pojazd jakiś przejdzie, lub przemknie turystyczne auto.

W długiej, głównej ulicy Taorminy ruch mały, podobnie, jak w rynku. Na progach otwartych sklepików

Taormina. Etna.

Fot. Galifi Crupi.





Taormina. Ogród hotelu Timeo.

Fot. Galifi Crupi.

pełno wspaniałych, koronkowych prawie wyrobów żelaznych, gdzie spojrzeć — barwią się pasiaste kilimy. Przed domami bawią się dzieci o wielkich czarnych oczach, gdzieś, przed drzwiami, na jaskrawo malowanym krześle siedzi ciemny od słońca mężczyzna, lub kobieta.

Długa, urocza ulica, przecięta krótkimi zaułkami i wąziutkimi, pełnymi suszącej się bielizny, uliczkami, ukazującymi na przemian to górne tarasy skał, to znowu dolne, spływające ku morzu. Dawne wieki przemawiają powagą kościołów, powagą pałacy Corvaja i Duca S. Stefano, przemawiają szarzyzną murów i zakamarków...

Zbliża się wieczór. Zachodzące słońce zapala na śniegach Etny liliowożłote blaski. Monte Castello i Castel Mola różowieją na ciemnym błękitcie nieba. W dół, ku morzu płyną szmaragdowe tarasy, rozjaśnione tu i owdzie delikatną pajęczyną bladioróżowych migdałowych kwiatów. Na zębatych kasztelach i świątyniach średniowiecznej Taorminy gasną ciepłe promienie zachodu. —

Gdzieś, z wąskiego vicolo wychodzi, okryta barwną chustą, czarnowłosa, smagła Taorminka. Idzie swobodnie miękkim, kołyszącym się ruchem; na głowie niesie wielki, miedziany dzban wody. —

Szarzeje... Na drzwiach maleńkiej taormińskiej traktorii można jeszcze odczytać, że wieczorem będą tu grać i tańczyć „tarantelę”.

Godzina południowa. Pociąg znowu mknie w dół półwyspu, do Syrakuz. Ginie z oczu zielona „Isola Bella” i przylądki Taorminy. Morze Jońskie, u brzegu ciemnoszafirowe, rozplywa się na widnokręgu delikatnym, spłowiałym błękitem; powierzchnia wody drży świetlistą siecią migotliwych płomyków... Znowu gaje, kwiaty skąpane w słońcu... Raz jeszcze ukazuje się srebrzysta, dymiąca Etna...

Pociąg minął Acircale i zbliża się do Acicastello. Z morza sterczy kilka ciemnych skał. To Scogli de' Ciclopi, którymi mściwy Polifem ścigał okręt Odysa. — Jeszcze kawałek drogi i widać Katanię, wspaniałą ongiś Katanę, założoną przez Chaldeczyków. Dziś jest ona miastem zabytków, ale głównie jest miastem handlowym. Tuż przy torze kolejowym wielki port rybacki, najeżony ciemnymi masztami bark.

Pociąg idzie w dalszą drogę. Żyzna dolina Katanii pyszni się bogactwem roślinności. Wzdłuż toru biegnie szereg drzew eukaliptusowych, to znowu ogrody i pola błyszczą przestrzeniami skąpanej w słońcu zieleni... Od stacji Lentini (starożytnego Leontini) tor kolejowy zbliża się znowu do wybrzeża morskiego i idzie wzdłuż salin. — Parę godzin drogi przeszło, jak jedna chwila. — Stacja Siracusa!

Największe, najpiękniejsze, wielbione przez starożytnych miasto, składało się niegdyś z czterech wielkich i zaludnionych dzielnic miejskich, zwanych: Achredine, Tyche, Neapolis i Epipolae i z wyspy Ortigia zwanej. — Dziś zmniejszona obszarowo, posiadająca o wiele mniej



Sycylijka.



Taormina. Kwitnący migdał.

Fot. J. Siwkowski.



ludności Siracusa ciągle jeszcze przemawia do świata wspaniałymi pamiątkami swej sławnej przeszłości. —

Słońce pali. Jasne mury domów, powietrze, ziemia rażą dziwnym, silnym blaskiem. W części miasta, zwanej Ortigia, a więc na wyspie, jest źródło Aretuzy. Uroczą fontanną, ukrytą wśród papirusów, znajduje się poniżej poziomu ulicy. Za wysokim obmurowaniem chłuszczy fale morskie. Syrakuzanie znają legendę swego pięknego źródła, w które zamienioną została wodna boginka z Peloponezu. W obronie przed zalotami rzeczno-boga Alfeusza miłosierna Artemis zaklęła ją w źródło, które w dalszej ucieczce przed napastnikiem zawędrowało podziemnymi zakamarkami, aż do miasta Syrakuz. Na wewnętrznej ścianie ogrodzenia zawieszona jest wielka ilość klatek gołębic; ptaki z trzepotem kołują nad źródłem nimfy. Obok źródła jest sklepik, w którym turystom sprzedają na pamiątkę kawałki papirusu.

Ulice i uliczki miasta odsłaniają stare budowle pięknych kościołów, stare kasztele... Ale, jak w Taorminie tak i tu ciągnie Teatro Greco. Olbrzymi, o średnicy 150 m, piętrzy się w górę kamiennymi półkolonami szerokich ław. Scena jest zniszczona, ale poza tym — teatr zachował się świetnie; w ostrych blaskach słońca, pod ciemnoszafirową kopułą nieba jest jasny, oślepiająco jasny. Z teatru niedaleko już do ogromnych kamieniołomów. Latomia del Paradiso robi wrażenie wielkością i głębokością pieczar. —

A teraz do Ucha Dionisosa! — Znajduje się ono tuż przy kamieniołomie Latomia del Paradiso. Olbrzy-

Taormina. Fragment autostrady z widokiem na morze.

Fot. J. Siwkowski.



Taormina. Migdały.

Fot. J. Siwkowski.

mia jaskinia jest od zewnątrz podobna nieco do ucha. Wewnątrz — akustyka nadzwyczajna. Cichym głosem wymówione na progu pieczary słowo — powróci do nas z głębi — głośnie, czyste i dźwięczne.

Z Latomii — jeszcze do teatru rzymskiego. Z części wykutej w skale zostały resztki kamiennych siedzeń. Słońce oświetla głązy ukośnymi promieniami. —

Wokoło cisza przedwieczorna i cisza ruin...

O zachodzie pociąg rusza w drogę powrotną — do Mesyny. W Gasnącym świetle dnia ciemnieje barwny krajobraz Sycylii. Mętnieją zarysy gór, szarzeją drzewa i domy. Kiedy niekiedy błysnie na morzu żagiel przybijającego do brzegu okrętu.

Noc zapada. Światło księżycy rozjaśnia okolice. Pociąg mija stacje i stacyjki, idzie głębiej lądem, to znowu leci brzegiem morza. Na wodzie drży migotliwa wstęga księżycowych promieni.

W Mesynie przesiadka. Prom odbija od brzegu, a w parę chwil potem wypływa z portu na wody Cieśniny Mesyńskiej. Na wystającej z wody kolumnie jaśnieje złociście posąg Madonny. Stella Maris zdaje się unosić w powietrzu. Nad głową ma wianek z błękitnych światełek...

Oddala się Sycylia, wyspa wiecznej wiosny, ziemia dawnych Sikulów, Greków, Rzymian, Arabów, Normanów, Hiszpanów i Francuzów, ziemia, której obecni mieszkańcy czują na sobie piętno swej wielkiej i różnorodnej przeszłości dziejowej.

Taormina. Figi indyjskie.

Fot. J. Siwkowski.

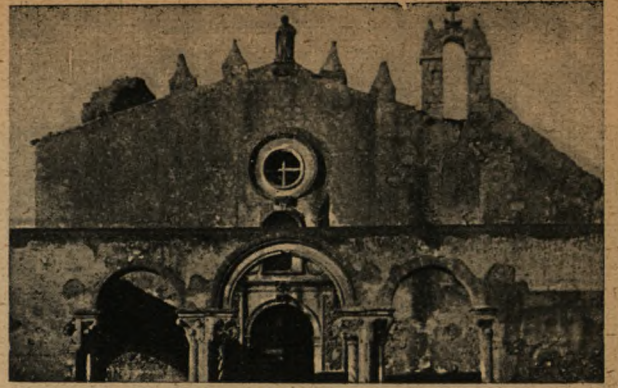


Strój sycylijski.

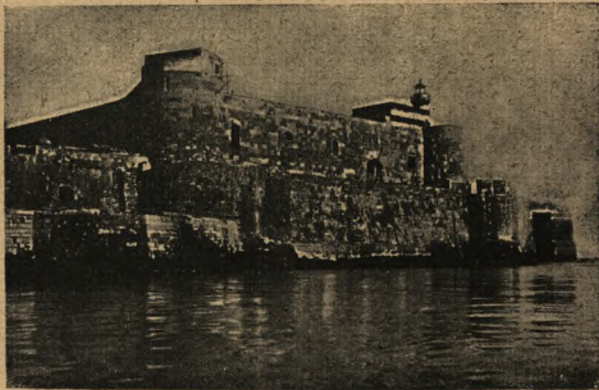




Siracusa. Katedra.



Siracusa. Kościół Św. Jana i Św. Marcjana.



Siracusa. Kasztel Maniace.



Siracusa. Plac Katedralny.



Siracusa. Rzeka Ciane.



Siracusa. Port.

Siracusa. Fragment portu.

Siracusa. Pałac Poczty i Telegrafów.





Siracusa. Widok z portu na miasto.



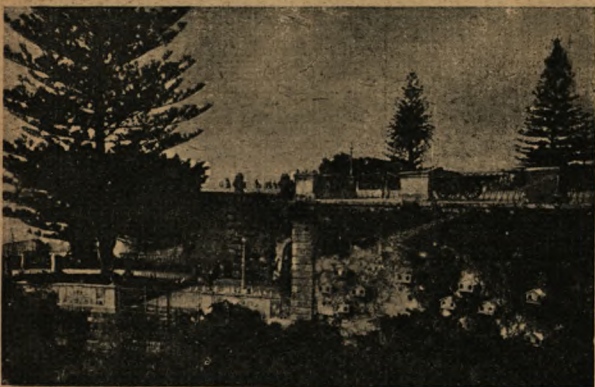
Siracusa. Ucho Dionizosa.



Siracusa. Kasztel Eurialo.

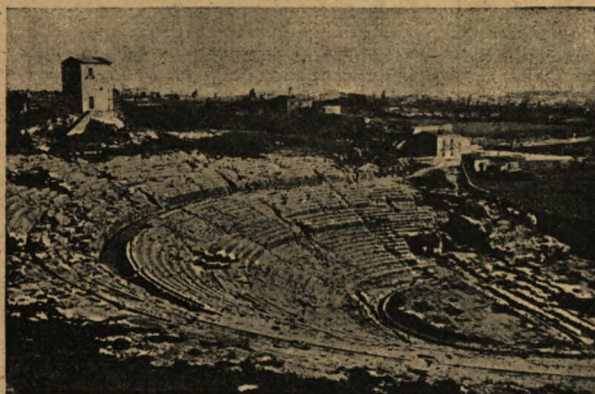


Siracusa. Pałac Montalto.



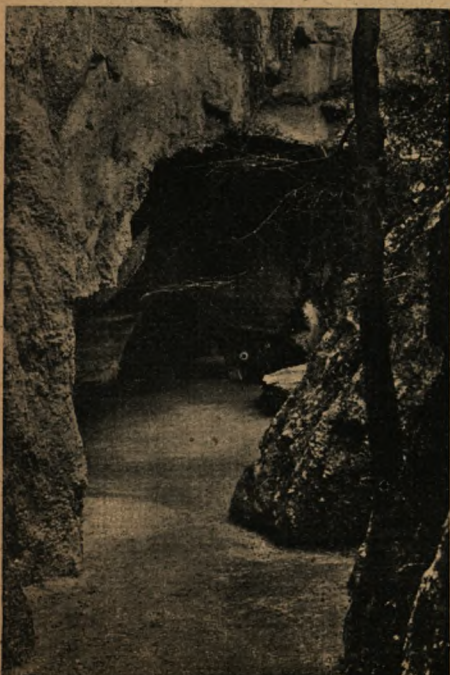
Siracusa. Fontanna Aretuza.

Siracusa. Latomia Kapucynów.



Siracusa. Teatr Grecki.

Siracusa. Widok ogólny.



Dr M. SKRUDLIK

BITWA POD LEPANTO

Zwycięstwo pod Lepanto, podobnie jak później odcięcie Wiednia, wywarło potężne wrażenie w całym świecie i znalazło żywy oddźwięk w sztuce.

Na wieść o eksplozji głównego arsenału Wenecji i osłabieniu przez to gotowości wojennej Rzeczypospolitej, sułtan Sulejman rozkazał flocie uderzyć na Cypr. Wojska tureckie wylądowały na wyspie, wycinając w pień załogę wenecką i część ludności. Zdobycie Cypru zagrażało interesom wszystkich państw chrześcijańskich, leżących nad Morzem Śródziemnym. W rezultacie inicjatywy i wysiłków papieża Piusa V zawiązała się wówczas Liga, do której przystąpiły sprzymierzone z państwem kościelnym — Hiszpania i Wenecja. Naczelne dowództwo sił chrześcijańskich objął Don Juan d'Austria.

Port w Mesynie był miejscem zbornym floty chrześcijańskiej. Spod Mesyny zjednoczona flota Ligi wyruszyła do Zatoki Koryneckiej

W godzinach popołudniowych, w dniu 7 października 1571 roku, flota Ligi stanęła pod Lepanto.

Miasto, położone nad Zatoką Korynecką, zwano się w starożytności Naupaktas, to znaczy „miejsce budowy okrętów”.

W chwili gdy flota chrześcijańska stanęła pod Lepanto, wyruszyła z kościołów Rzymu uroczysta procesja różańcowa, na czele której niesiono cudowny wizerunek Matki Boskiej Śnieżnej z Bazyliki Santa Maria Maggiore.

Gdy z „Galera Real” padł rozkaz rozpoczęcia uderzenia, na wszystkich statkach rozległ się okrzyk na cześć Bogarodzicy. Podniesiono flagę Ligi i flota chrześcijańska, liczebnie znacznie słabsza od tureckiej, prze-



Bartłomiej Nowodworski według sztychu z XIX w., wykonanego na podstawie portretu z XVII w.



Giorgio Vasari i Lorenzo Sabotini (zm. w r. 1577): Bitwa pod Lepanto (pogrom floty tureckiej). Watykan. Sala Regia.

szła do ataku. Po kilkogodzinnej walce zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę Ligi. Głównie dowodzący flotą turecką, Ali, zginął, poległo trzydzieści tysięcy nieprzyjaciół, sto trzydzieści galer wzięto w niewolę, a dziewięćdziesiąt poszło na dno.

Czołowy przedstawiciel tak zwanych manierystów, to jest naśladowców Michała Anioła, rzymsko-florencki artysta Jerzy Vasari (1511 — 1574) namalował u schyłku swego życia, przy pomocy swego ucznia Lorenza Sabbatiniego z Bolonii (zmarł w r. 1577) dwie wielkie kompozycje freskowe w Sala Regia w Watykanie, przedstawiające bitwę pod Lepanto.

Kompozycję pierwszą zdefiniował Venturi w swej „Historii malarstwa włoskiego”, jako „La flot-

ta pontificia, spagnola e veneziana davanti a Messina". Definicja ta nie odpowiada właściwej treści kompozycji, ilustrującej w istocie rzeczy, pierwszą fazę bitwy pod Lepanto, mianowicie flotę Ligi, podejmującą atak przeciwko galerom tureckim.

Szyk floty chrześcijańskiej we fresku Vasariego — nie jest historycznie wierny. Zaznaczona na lewo od widza flota Ligi, płynie w trzech, idealnie prostych, „wymustrowanych” liniach. Czoło floty tworzy sześć ciężkich okrętów wojennych (galeazy).



G. Vasari: Bitwa pod Lepanto. (Pierwszy Moment starcia się flot).

Za galeazzami posuwa się w ogromnej, zwartej linii — siła główna, złożona z galer. Trzecią linię uformowała rezerwa.

Szyk floty tureckiej odpowiada w obrazie Vasarięgo, w zupełności szykowi chrześcijańskiemu. Nie widzimy tutaj tylko ciężkich okrętów wojennych.

Flota turecka górowała liczebnie nad flotą Ligi; w szczególności tym Vasari jest również nieściśły: u niego ilość galer jest równa, galeazzy zaś dają przewagę liczebną Lidze.

Wierny upodobaniom swej epoki, uzupełnił Vasari swą kompozycję dodatkowymi postaciami alegorycznymi.

U dołu fresku, w pośrodku jego szerokości, widzimy plastycznie ujętą mapę terenów starcia, zatoki pod Lepanto, zamkniętą obramieniem architektonicznym.

Na lewo (od widza) trzy postacie niewieście personifikują trzy państwa, złączone przymierzem: Państwo kościelne, Hiszpanię i Wenecję.

Kompozycyjną przeciwagę tej grupy tworzy alegoria po stronie prawej, gdzie ponad postaciami pokonanych Turków zjawia się kościotrup z kosą w rękę.

Druga kompozycja Vasarięgo przedstawia późniejszą fazę bitwy, pogrom floty tureckiej. Na planie pierwszym widać statki Ligi zaczepione dziobami o galery

nieprzyjacielskie lub też walczące na bliską odległość. Żołnierze Ligi rażą wrogów ogniem muszkietów, Turcy odpowiadają strzałami, wypuszczanymi z łuków. Gdzieś widać wrę już walka na białą broń. W dali widać dymy i ognie wystrzałów armatnich.

Morze zasłane jest trupami i żołnierzami, strąconymi ze statków.

Potężne galeazzy, które w obrazie pierwszym płynęły przed frontem sił głównych, tutaj wycofane są na plan drugi. Ukośne reje galer przecinają ostrymi, urywanymi liniami kompozycję, wywierając wrażenie olbrzymich strzał, wypuszczanych z łuków wielkoludów.

Na galerach tureckich powiewają kolorowe bandery z jednym lub dwoma, a nawet trzema — półksiężycami. Na banderach chrześcijańskich przeważają weneckie lwy św. Marka.

Na galerze widocznej w centrum kompozycji, na której zjawia się wśród światłości wizja Anioła z krzyżem w rękę, powiewa duży sztandar z krzyżem w pośrodku. Poniżej krzyża widnieją herby sprzymierzonych. Jest to galera głównego dowodzącego Don Juana d'Austria.

W dwóch fragmentach, u szczytu kompozycji, przedstawił Vasari ingerencję mocy nadprzyrodzonych w walce Krzyża z półksiężycem. Na lewo od widza, Chrystus, otoczony apostołami i aniołami, rzuca w kierunku floty tureckiej ogniste groty. Na prawo uciekają w panice ciemne postacie szatanów.

W dole kompozycji, ujęta kulisowo postać alegoryczna siedzącej niewiasty z wielkim krzyżem na ramieniu i z kielichem w rękę — reprezentuje Wiarę. Anioł wkłada jej wieniec na skronie, a u jej stóp leżą powaleni i skrępowani Turcy.

Inaczej potraktował ten temat weneccjanin Andrea Vicentino (początek XVII w.) w obrazie z Pałacu Dożów w Wenecji.

Malarz ten wprowadza widza w sam środek zawieruchy bitewnej. Toteż zamieszanie, stłoczenie galer i mas ludzkich jest w obrazie tym o wiele znaczniejsze, aniżeli w kompozycji z Sala Regia.

Przypisywana stale Pawłowi Veronese wielka kompozycja z Akademii Weneckiej, „Apoteoza bitwy pod Lepanto”, jest — jak to wykazał Venturi — dziełem ucznia Veronesa, Montemezzano (1550 — 1600).

Kompozycja ta, przedstawiająca świętych patronów Rzeczypospolitej, zgromadzonych u stóp Najświętszej Panny, posiada bezpośredni związek z słynną uchwałą senatu, stwierdzającą, że „nie odwaga, nie wojska i ich siła, lecz Maryja dała Wenecji zwycięstwo”.

Główna akcja kompozycji, rozgrywająca się w górnej części obrazu, posiada charakter wizyjny. W części dolnej, traktowanej szkicowo jako uzupełnienie sceny zasadniczej, przedstawił Montemezzano bitwę morską.



Montemezzano (ur. 1540 lub 1550, zm. 1600): Apoteoza bitwy pod Lepanto (Wenecja i jej patronowie u stóp Najśw. Maryi Panny). Wenecja, Akademia.

Kompozycja Paola Veronesa z Pałacu Dożów jest alegorią bitwy pod Lepanto. Obraz Montemezzano cechuje wybitnie wizyjne ujęcie, w kompozycji Veronesa wizyjność kojarzy się z realizmem portretowym: Na chmurach, w orszaku aniołów, zjawia się Salwator z błękitną kulą w lewicy, z prawicą, podniesioną gestem błogosławieństwa. Na planie pierwszym u stóp Chrystusa, stoją i klęczą postacie alegoryczne i rzeczywiste. A więc widzimy tutaj Wenecję, Wiarę, św. Marka z lwem, oraz portretowo ujęte postacie doży i dowódcy floty weneckiej, Sebastiana Veniero ze sztandarem w ręku. W głębi, w tle, widać bitwę na falach morza.



Bitwa pod Lepanto rozegrała się w dniu 7 października 1571 roku, a więc u samego schyłku życia ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta. Polska nie tylko nie wzięła żadnego udziału w tej wojnie, ale jej stosunki z Turcją układały się w tych czasach wyjątkowo pomyślnie, w duchu wzajemnej nie-agresji.

Toteż „Bitwa pod Lepanto” Tomasza Dolabelli († 1650) z Zamku na Wawelu, z postacią donatora, Bartłomieja Nowodworskiego na planie pierwszym, nie była echem bezpośrednim zwycięstwa.

Obraz ten ofiarował Nowodworski kościołowi Dominikanów w Poznaniu jako votum dla uproszenia pomocy Pogromicielki niewiernych w wojnie polski przeciw Turcji w latach 1620 — 1621, a więc w pięćdziesiątą rocznicę bitwy pod Lepanto.

W lewej części kompozycji przedstawił Dolabella procesję błagalną, która w dniu bitwy pod Lepanto przeciągała ulicami Rzymu.

Taka sama procesja błagalna kroczyła ulicami Krakowa w dniu 4 października 1621 roku, w chwilach decydujących walk pod Chocimem, zakończonych w dniu 7 października chlubnym dla Polski rozejmem.

Prawa część kompozycji Dolabelli, ilustrująca bitwę pod Lepanto, pod względem artystycznym i historycznym — przedstawia znacznie mniejszą wartość od części lewej.

Jest rzeczą interesującą, że jedyny w Polsce zachowany obraz, przedstawiający wielką bitwę morską, ufundował szlachcic pomorski z Tucholi, z morzem obeznany, uczestnik wypraw morskich kawalerów maltańskich.



1) Paolo Veronese (1528 — 1588): Apoteoza bitwy pod Lepanto. Wenecja, Pałac Dożów.

2) Tomasz Dolabella (zm. 1650): Bitwa pod Lepanto. Zamek Królewski na Wawelu.

3) Andrea Vicentino (pierwsza połowa XVII w.): Bitwa pod Lepanto. Wenecja, Pałac Dożów.

IZABELLA HENTSZLÓWNA

SZUKAM MISTRZA TAŃCA!

Ja taniec kocham... ja za tańcem szaleję... ja się tańcem upajam... — tak mówił jeden z naszych mistrzów sztuki tanecznej.

I ja kocham taniec, ale cóż mi z tego, gdy tańczyć nie umiem.

Nie mógł mnie, mimo nadludzkich wysiłków, nauczyć sztuki choreograficznej ani sławny mistrz z Nowego Świata, ani z Krakowskiego Przedmieścia. Całe dwa miesiące pracy i trudów na próżno!

Pierwszy mój występ na arenie tanecznej w noc sylwestrową był fatalny i stanowił łańcuch udręczeń dla tych, którzy nieopatrznie mieli nieszczęście zaprosić mnie do tańca — no i dla mnie.

— O piękna i poetyczna pani — syczy tańczący ze mną pan — kiedyż wreszcie z wysokości koturnowych moich odcisków zejdziesz na zwykłą, prozaiczną posadzkę? —

Na szczęście muzyka grać przestaje. Gentelmen odycha z ulgą i szybko odprowadza mnie na miejsce.

Po przerwie orkiestra gra walca. Płyną upajające dźwięki: „An der schönen, blauen Donau”.

W głębokim ukłonie chyli się przede mną wytworna sylwetka pana.

Zaczynamy tańczyć. Wzajemnie depczemy sobie po nogach, ponieważ mój drugi pas wypada równocześnie z trzecim lub pierwszym pas następnego taktu mojego partnera. Czuję się coraz gorzej. Pot obfitymi strugami spływa mi z czoła. Tancerz rzuca na mnie złowrogie spojrzenia i mruczy pod nosem: „i minę to to ma głupią i tańczyć nie umie”.

Nareszcie walc skończony. Z uczuciem rozkoszy siadam, a złośliwa kuzynka szepce mi do ucha: „Cudownie tańczysz! Twój partner przez cały czas był tylko w ciebie wpatrzony! O nie zaprzeczaj! Widziałam doskonale, że wasze „cztery źrenice gorzały przeciw sobie, jak roratne świece”.

Teraz rozlegają się skoczne tany oberka. I znów ktoś prosi do tańca.

Niegrzecznie jest odmawiać, więc idę. — Mocna ręka silnie obejmuje kibić. Tańczymy. Coraz prędzej, coraz prędzej sala wiruje mi przed oczyma. Już prawie nic i nikogo nie widzę. Po chwili słyszę słowa:

— Pani nie tańczy, tylko skacze jak wróbel na nitce!

O tego już za wiele! Wrywam się z objęć tancerza i biegnę przez salę. Nagle zaczepiam o coś obcasem i przewracam się, jednocześnie słyszę łoskot innych padających ciał i niewyszukane komplementy: oferma! niedołęga! łamaga itd. Na pół przytomną wyprowadzono mnie z sali.

Takie oto były moje ewolucje taneczne w noc sylwestrową. —

* * *

Podobno siła woli może dokonać cudu.

Mimo mizernych rezultatów za wszelką cenę postanawiam nauczyć się tańczyć. Przeglądam ogłoszenia. Zachęcająco brzmi anons szkoły tańców na ulicy Zamenhoffa: „Najbardziej niezdolnych szybko wyuczam salonowo tańczyć za 2 zł miesięcznie”. —

Wchodzę na pierwsze piętro. Na drzwiach tabliczka: „Szkoła tańca mistrza Uszera Rappaporta”. Szlachetkie brzmienie nazwiska bynajmniej nie zniechęca mnie. W przedpokoju uderza charakterystyczna woń zakwaszonej cebuli.

Po lewej stronie salon, naprzeciwko zaś kancelaria, w której urzęduje sam mistrz. Tak objaśniła mnie służąca.

— Pani w jakim charakterze? — pyta mnie pan o wybitnie kupieckim wyglądzie.

— Chcę zapisać się na lekcje tańca, mistrzu. —

Przez chwilę pan Rappaport badawczo mi się przygląda.

— Czy wy jesteście od naszych? —

— Sie wi — odpowiadam. —

— No niby włosy macie dość zakręcone i nos też i owszem.

— Nazwysko i ymie?

— Pomeranc Rachela.

— Zawód?

— Wykwintny manikur z rubynowem lakierem.

— Dziękuję sie, wy u mnie tera będziecie liczba 1379. A tera do salonu, za chwyle ide robić wykładanie.

Z bijącym sercem, nieśmiało wchodzę do owego salonu. W kącie stoi dziwnego kształtu wydłużony fortepian. Pod ścianami kanapki ze sterzącymi sprężynami, gdzieś tam pokrytymi zielonym, wypłowiałym pluszem.

Siadam skromnie na brzegu kanapy i przyglądam się doborowemu towarzystwu północnej dzielnicy Warszawy. Jest to przeważnie młodzież — ta tombakowa młodzież, która przed zapłonionymi panienkami rozsypuje perły dowcipów.

— Słuchajcie, Malwyna — mówi do rudej piękności jakiś adonis — wy jesteście jak lilia i sarna razem! —

— Czy z powodu niewynność i zgrabność? —

— Nie, z powodu żółto w uchu i owłoszenie na nogach!

Rozlega się radosny śmiech.

W tej chwili czuję jakieś niepokojące śwędzenie na szyi. Zaczynam się ukradkiem drapać. Nic nie pomaga. Śwędzi cała szyja, plecy. Coraz gwałtowniej i mocniej jeżdżę paznogciami po plecach i nagle wyczuwam pod palcami jakieś obce ciało. Wyciągam na powierzchnię. Pod paznogciami są dwie rozgniecione pluskwy!

Mimo woli wrywa mi się z ust dziki wrzask. Do salonu wpada mistrz.

— Co wam się stało, co? — woła.

Pokazuję mu pluskwy.

— To z kanapy — mówię.

— A wy chcecie, koleżanko Pomeranc, coby uni byli w instrumencie muzykowem. Pluskwa wiadomo, jak kuźdy zwierz, lubi ciepło, a że wy — dodaje z uwodzicielskim uśmiechem — jesteście cieplejsza od kanapy, to tylko komplement dla was. —

— No, a teraz uwaga! Przede wszystkim wstęp dla naszej nowej, uroczej koleżanki, której partner będzie nasz Valentino, Moniek Rybitwa, aspirant fryzjerski.

— Bonsuar madam e mesje, czyli agite cześć!

— Dlaczego my się tańczymy? Tego chce tradycja. Już Bachus, Orfeusz i Piękna Helena, czyli nasze przodki, używali taniec, bo mieli kulture. My teraz mamy ich wstępować w ślady, bo kto, jak mówi przysłowi, nie tańczy z kulturo, ten sie cofa i może wejść w coś, w coby nie chciał. Dlatego my tańczymy. Ale nad wami czuwa oczko szczęścia, by wy macie mi, który uczy stylowo, salonowo rumba, karioka tudzież inne dyplomatyczne potrzeby i maniery!

ST. BOGUCKI

KARTKA Z HISTORII ŁAZIENEK

Któż nie był w królewskich Łazienkach w Warszawie? A jednak jak wielu z podziwiających piękno tej wypicszonej rezydencji nie zna bliższych danych o jej założeniu i historii. Z całą pewnością pobieżny opis powstania i budowy Łazienek nie obędzie z nich legendarnego uroku, gdyż wielu mistrzowie dokładali ręki przy ich powstawaniu.

Wielki miłośnik i mecenas sztuki król Stanisław August Poniatowski, zamierzył założyć letnią rezydencję, narazie projektował przebudowę na ten cel pałacu Ujazdowskiego. Zaniechał jednak tego zamiaru, gdyż był to gmach już wielokrotnie przebudowywany, w stanie nie nadającym się do dalszych zmian i restauracji. Wówczas powziął król projekt przebudowy na letnią rezydencję pałacyku, położonego na błotnistych terenach, Łazienkowskim od pierwotnego przeznaczenia zwanym.

Pałacyk ten wystawił, sprowadzając artystów obcych Stanisław ks. Lubomirski i sprzedał go za milion sto tysięcy złp. Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, ówczesnemu stolnikowi litewskiemu. Przebudowę pałacyku Łazienkowskiego powierzył król znakomitemu budowniczem Merliniemu. Ten powołał do współpracy artystów tej miary co: Kamzetter, Kubicki i Bacciarelli.

Sztucznymi kanałami odwodniono błotniste tereny, na których jeszcze do niedawna polowano na kaczki i założono rozległy, malowniczy park, ze stawami i teatrem na wysepce, imitującym ruiny klasycznego teatru. Podczas przebudowy pałacu król



zamieszkiwał we wcześniej wzniesionym „Białym Domku”. W r. 1787 stanął wykończony jednopiętrowy pałacyk, o fasadzie ozdobionej czterema kolumnami korynckimi, oddzielonymi od korpusu szerokością tarasu. Pilastry korynckie idą przez długość pałacyku, a stronę boczną zdobią cztery kolumny w tymże stylu. Wnętrze pałacu wybredny król urządził z wyszukany wykwintem, ustawiając posągi, sprowadzone z antycznych will rzymskich. W przedsionku założył lapidarium z wykopalisk greckich i rzymskich o wielkiej wartości zabytko-

wej. Ściany pokrywają się stiukami, freskami i tafelkami fajansowymi. Poza tym skupował król obrazy, zarówno bezcenne oryginały, jak i też współczesne kopie. Zapewniają więc sale dzieła takich mistrzów, jak: Rembrandt, Rubens, Gerard Dow, Mengs, Angelika Kaufman, Greuze, Teniers. Meble dorównują wysoką jakością reszcie dekoracji wnętrza.

Poza samym pałacem, buduje król pałacyk myśliwski, ofiarowując go ukochanemu bratankowi księciu Józefowi Poniatowskiemu, chcąc mieć oko nad rozbawionym młodzieńcem. Powstają jednocześnie pomarańczarnia i kordegarda, a romantyczny park zaludnia się nimfami, faunami i postaciami alegorycznymi. Piękne są dwie personifikacje Wisły i Bugu, zdobiące schody przy sadzawce,

Do dziś dnia, zegary słoneczne w parku Łazienkowskim, mierzą godziny cennego wypoczynku i romantycznych spotkań, ludziom zmęczonym zawrotnym tempem wielkomiejskiego życia XX wieku.

Tu mistrz przerwał, poczem spojrzawszy na mnie rzekł:

— A salonowa dama kiedy tańczy ze szmondakiem co śmierdzi, nie powinna kręcić nosem i odwracać głowa, tylko powiedzieć skromnie:

— Uj, wy musicie zmienić zapacha perfumy!

Po tym wstępie mistrz przeszedł do właściwej lekcji.

— Muzyka grać! Zaczynamy!

— I raz i dwa i trzy i cztery. Panowie robią tak jak ja, panie odwrotnie. I raz, dwa, trzy, cztery.

— Panie Zechman, wolniej, wolniej, zapomnij pan że jesteś żokiejem — to taniec, nie wyścigi i raz, dwa, trzy, cztery.

— Grunblatt! Suknia klosz panny Sabyny to nie kurtyna, co ja pan podnosisz i raz, dwa, trzy, cztery. Tempo, tempo! Dość!

— Teraz walc z figuramy.

— Tempo: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Uwaga! Noga naprzód, pół obrotek i do siebie, noga naprzód i do siebie i do siebie, raz, dwa, trzy. Muzyka! Zaczynamy. Raz, dwa, trzy.

— Uj, Salomon! Wyraźnie mówiłem co noga przysuwać do siebie a nie panna Róża, raz, dwa, trzy.

— Teraz robymy rą — kółko i a nawau, a nawau — naprzód, raz, dwa trzy. Panowie robio koszyczek! —

— Moniek! Stój, gdzie lecisz?

— Przynieść ten koszyczek, co wam stoi do plucia.

— Idiota. Zrób koszyczek z rękoma i raz, dwa, trzy.

— Panie suną sze naprzód na dwa dansery i walcujemy jak stojemy raz, dwa trzy.

— Panno Rachelo! Ja nie żądam cobyście zaraz byli Halama, ale za kołowrotek to nie możecie się krenić i raz, dwa, trzy!

Ze smutkiem stwierdzam, że ani Szmolcówną, ani Halamą nie będę. Ha trudno, ha! —

LUDOMIR RUBACH

W RODZINNYM KRAJU MARSZAŁKA ŚMIGŁEGO-RYDZA

Na dalekich, południowo wschodnich kresach Rzeczypospolitej, w dolinie Złotej Lipy, rozgraniczającej malownicze Opole od właściwego Podola, urodził się dn. 11 marca 1886 r. w Brzeżanach Marszałek Śmigły-Rydz.

Ziemia podolska była od wieków kolebką wielkich mężów, bohaterskich obrońców granic Ojczyzny.

Nieustanne wojny były jej udziałem historycznym, gdyż wszystkie drogi ze stepów czarnomorskich w głąb Polski prowadzą przez tę żyzną, licznymi rzekami poprzecinaną krainę. Toteż znęcone bogactwem Rzeczypospolitej atakowały ją nieustannie armie tureckie, czambuły tatarskie, watachy Kozaków i Wołochów.

Aby nie dopuścić wschodnich najeźdźców w granice naszego państwa, budowano na Podolu na stromych zboczach jarów liczne zamki i grody warowne, fortyfikowano miasta, osadzano na granicy państwa walecznych rycerzy.

Ludność Podola hartowała walka, krzepiła w walce — miłość Ojczyzny!

Podole chlubi się liczną plejadą wielkich synów, których dało Rzeczypospolitej, a wierne swej dziejowej tradycji i posłannictwu, dodało ostatnio do łańcucha imion sławnych nowe nazwisko... Marszałka Śmigłego-Rydza.

Opatrzność wybrała jako kolebkę II Marszałka Polski jedną z najbardziej malowniczych dzielnic naszej Ojczyzny, w której piękno krajobrazu było i jest tłem życia twardego, nieustannej walki o polskość tej ziemi, o granice Rzeczypospolitej.

Poznać ten kraj, zrozumieć wymowę jego legend i opowieści bohaterskich, skamieniałych w rumowiskach

Stara wieża, dzwonnica w Zbarażu.



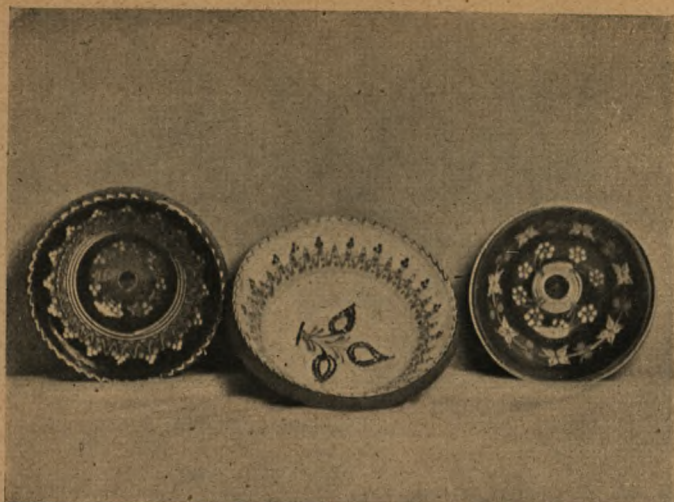
zameczysk warownych, olśnić serce i oczy czarem jego tajemnic — powinien każdy, dla kogo cennymi są dzieje ziemi naszej, kto szuka prawdziwego piękna w przyrodzie; kto rozumie znaczenie wyroków Opatrzności, wywodzącej z ziemi usłanej kośćmi bohaterów na słoneczny gościniec sławy Pierwszego Rycerza Polski mo-carstwowej.



Typ dziewczęcia podolskiego spod Zaleszczyk.

Ruiny zamku w Brzeżanach.





Ludowe wyroby ceramiczne na Podolu.

Tarnopol. Kościół parafialny.



O Podolu śpiewał poeta-krajoznawca, Wincenty Pol, że: —

„Jasne słońce nad Podolem
Po parowach kraj się zboczył,
Wielkim łukiem, czy półkolem,
Dniestr ku morzu się zatoczył...”

Jasne słońce nad Podolem...

Nie ma w tym wierszu rozkochanego w „ziemi naszej” poety ani cienia przesady. Złote słońce na bia-



Kościół i klasztor Dominikanów w Zbarażu.

łym polu było herbem dawnego woj. podolskiego, które, w okrojonej przez losów zmiennych koleje postaci, stanowi dzisiejsze województwo tarnopolskie.

Podole posiada zupełnie indywidualne, odrębne od reszty naszego kraju, właściwości klimatyczne.

Południowo-wschodnie powiaty woj. tarnopolskiego noszą nazwę „Podola Ciepłego”, a położone nad południową granicą państwa (od strony Rumunii) Zaleszczyki należą do najcieplejszych zakątków naszej Ojczyzny.

Podole stanowi bowiem równinną wyżynę, należącą do płyty czarnomorskiej, wyniesioną przeciętnie ponad poziom morza do wysokości 320 m. Obniża się ona ku południowemu wschodowi, dzięki czemu południowa jej część wystawiona jest na intensywniejsze działanie słoneczne więcej niż jakakolwiek inna część ziemi naszej.

Ukształtowanie Wyżyny Podolskiej spowodowało spadek wód ku południowi (większość rzek tej krainy — to dopływy Dniestru, należącego do czarnomorskiego basenu wodnego), a układ warstw ziemi doprowadził do przeorania całej równiny przez głębokie doliny rzeczne, tworzące jary o malowniczych, stromych brzegach, co niejednokrotnie nadaje krajobrazowi charakter podgórski.

Na „Ciepłe Podole” kieruje się też głównie cały ruch turystyczny i letniskowy z innych województw naszego państwa, wobec czego i my zwiedzanie rodzinnego kraju Marszałka Śmigłego-Rydza rozpoczynamy od jego stron południowych.

Zatrzymaliśmy się nad błękitną wstęgą Dniestru, wijącego się fantastycznymi zakrętami wśród przepięknych jarów. Wycieczka kajakami od starożytnego grodu czerwieńskiego Halicza w woj. stanisławowskim do Zaleszczyk, stanowi baśnią podróży, z którą chyba tylko podróże Sindbada — marynarza z „Tysiąca i jednej nocy” mogą być porównane.

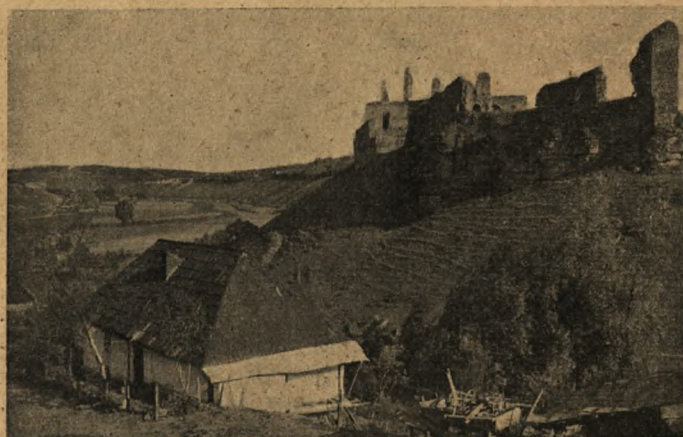
U stóp naszych rozłożyły się Zaleszczyki, nazywane „Polskim Meranem”. Leżą one w okolicy Dniestru, tworzącego tu półwysep, na którym do późnej jesieni w zło-



*Brzeżany. Widok spod klasztoru.
Skała. Zamek od zachodu.*



*Wyganka. Zamek.
Brzeżany. Zamek.*



*Skała. Ruiny zamku.
Trembowla. Pomnik Heleny Chrzanowskiej.*



*Podole. Dniestr pod Zaleszczykami.
Skała. Strażnica K. O. P. nad Zbruczem.*





*Tarnopol. Widok ogólny.
Złoczów. Widok ogólny.*



*Podzameczek. Okolica.
Tarnopol. Zamek.*



*Podole. Jar rzeki Dżurynki.
Podole. Dniestr pod Dźwinogradem.*



*Tarnopol. Bulwary.
Podole. Ogólny widok wsi.*



tych blaskach szcudrego słońca dojrzewają owoce, wśród których nie brak winogron. Sady morelowe, czereśniowe oraz winnice pokrywają zbocza doliny. Uprawa winogron w życiodajnym słońcu „Ciepłego Podola” rozwija się coraz pomyślniej z roku na rok. Dziś winnice pokrywają nie tylko doliny Dniestru, ale zająkują jary jego dopływu, Seretu, i przerzucają się na wszystkie południowe zbocza dolin podolskich. Uprawiane są już na „Ciepłym Podolu” szlachetne deserowe gatunki winogron, a z winnych odmian przede wszystkim Riessling, z którego wyrabiać można wino, w smaku nie ustępujące winom reńskim.

Prócz słońca wody i owoców, dostarczają Zaleszczyki innych atrakcji...

Piękno okolic i widoki na Dniestr i Seret, wycieczki do wodospadów, z których największy w Polsce znajduje się na rzeźce Dżurynie (12 mtr. wysokości) w Czerwonogrodzie, zwiedzanie wioski zagubionych w morelowych sadach, w których podziwiają turyści wysoką wartość artystyczną wyrobów ludowych: tkanin, rogożyn, rzeźb w drzewie i wyrobów ceramicznych...

Pamiętać przy tym należy, że tędy wzdłuż Dniestru biegła przed wiekami północno-wschodnia granica Imperium Romanum. Pozostał na ziemi podolskiej z tych dalekich czasów ślad znakomity.

Około wsi Wygoda w drodze z Zaleszczyk do Oko-



Stary dworek szlachecki w Brzeżanach.

rzymskich potężne fortyfikacje ziemne, które miały bronić własności rzymskich przed najazdami koczowniczych, stepowych plemion. Wał zachował się do dnia naszych wyraźnie, a przeprowadzone w jego okolicy prace wykopaliskowe pozwoliły odkryć wiele monet rzymskich, naczyń, broni, orły bojowe legionów Trajana. Wał ten jest unikatem w tej części Europy.

W jego okolicy, we wsi Michałkowicach, wykopano również słynny złoty skarb z epoki żelaznej, składający się z korony, zapinek, kolczyków, kubka, paciorków i łańcucha. Wszystkie te przedmioty są obecnie przechowywane w Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie.

Zwiedzając dolinę Dniestru, nie możemy pominąć Okopów Św. Trójcy, położonych u spływu Zbrucza do tej najpiękniejszej rzeki Podola w miejscu, w którym schodzą się granice trzech państw: Polski, Rumunii i Rosji.

Okopy Św. Trójcy zostały założone przez hetmana St. Jabłonowskiego i generała Marcina Kąckiego w 1692 roku jako obóz warowny przeciw Turkom.

Król Jan III Sobieski, monarcha pobożny, nakazał wybudowanie w obozie kościoła pod wezwaniem Św. Trójcy, skąd też pochodzi nazwa tej miejscowości. W 1700 r. zamieniona została rozwijająca się przy obozie osada przywilejem nadanym przez Augusta II na miasto. Cenna ta pamiątka historyczna, zroszona krwią konfederatów barskich, którzy tu w 1769 r. pod wodzą Pułaskiego bronili się przed Moskalami, zachowała się pod postacią 2 bram murowanych z wieżami i wałów, wewnątrz których znajduje się kościół z obrazem Św. Trójcy z XVII w.

Od północy widnieją ruiny baszty obronnej, która odgrywała rolę wieży strażniczej.

Nie jest to jedyna pamiątka z dawnych czasów. Całe Podole usiane jest ruinami zamczysk, fortecam, pałacami, starożytnymi świątyniami.

Nazwy takie, jak Trembowla, Podhorce, Olesko, Zborów, Żłoczów, Brzeżany, dobrze są znane każdemu, kto choć trochę interesował się dziejami oręża polskiego.



Trembowla. Zamek.

pów Św. Trójcy „Wał Trajana”, który rozciąga się między Zbruczem a Dniestrem. Tu na najdalszym cyplu potężnego państwa cesarów wzniosły ręce legionistów

Tarnopol. Kościół Dominikanów i pomnik Piłsudskiego.





Ogólny widok Brzeżan.

Do najsłynniejszych pamiątek rycerskich zmagañ z najeźdźcami należy zamek ks. Wiśniowieckich w Zbarażu.

Jeszcze historyk Szujski pisał, że „obrona Zbaraża w 1649 r. należy do najpiękniejszych czynów waleczności polskiej”, a potem H. Sienkiewicz uwiecznił wizję zamku zbaraskiego w sercu każdego Polaka i Polki, wskrzeszając na stronicach „Ogniem i mieczem” zapasy wojsk ks. Jeremiego z nawałą kozacko-tatarską.

Ostatnio zamek zbaraski znajdował się w stanie godnym pożalowania. Rozsypywał się w gruzy. Lecz w roku 1935 tą cenną pamiątką zaopiekował się Tarnowski Zw. Oficerów Rezerwy, którzy rozpoczęli ze skromnymi funduszami odbudowę zamku i w ciągu 1936 roku odrestaurowali wschodnie jego skrzydło.

Innym zamkiem, który również grozi ruiną, a który należałoby zachować dla potomnych, jest zamek w Brzeżanach.

Wspaniała to pamiątka przeszłości.

Zbudowany przez wielkiego rycerza i patriotę, hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Sieniawskiego, „Bogu na chwałę i na obronę wiernych chrześcijan”, przez długie lata był zaporą dla Turków i Kozaków, a nawet dwukrotnie cofnąć się musiały spod jego murów armie tureckie w 1675 i 1676 r. Zachowała się w nim do dni naszych wspaniała kaplica, w której zachwycają oczy zwiedzających marmurowe i alabastrowe pomniki i nagrobki rodu Sieniawskich.

Brzeżany — to rodzinne miasto Marszałka Śmigłego-Rydza.

Tu się urodził na „Adamówce”, tu skończył gimnazjum, tu spędzał wakacje w czasie studiów w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Godzi się więc Brzeżanom nieco więcej poświęcić uwagi, tym bardziej, że jest to prawdziwa perła Podola, malowniczo rozrzucona w dolinie Złotej Lipy nad brzegami dużego jeziora.

Liczne pamiątki: gotycki kościół parafialny, zbudowany z kamienia ciosowego w końcu XV w., kościół i klasztor Bernardynów z cudownym obrazem Wniebo-

wzięcia, kościółek ormiański, w którym w 1914 r. obecny Wódz Narodu malował obraz Matki Boskiej i „wprost z rusztowania poszedł do legionów”, jak o tym chętnie opowiadają starzy brzeżańczycy, Ratusz wzniesiony w 1811 r. przez hr. Potockich, kilka parterowych dworców szlacheckich, wreszcie mała kapliczka w miejscu bitwy Polaków z Moskalami w 1709 r., to zabytki godne zwiedzenia.

Ponadto dodają uroku miastu: Cerkiew Św. Trójcy w rynku, pomnik króla Sobieskiego, a przede wszystkim okoliczne wzgórza i lasy.

Takich pięknych zakątków jak Brzeżany jest na Podolu dużo więcej.

Trudno jednak wyliczyć wszystkie szacowne pamiątki sławnej przeszłości. Wymieniamy więc tylko najważniejsze. Należy do nich zamek w Podhorcach, zbudowany przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego (1635 — 1640).

W tym wspaniałym gmachu renesansowym, o którym pisał poeta francuski z czasów Sobieskiego, Dalezac, że „jest to najpiękniejszy w Polsce dom i chociaż nie jest wielki, uchodziłby za bardzo piękny i w każdym innym kraju”, mieści się obecnie muzeum pamiątek po królu Janie III Sobieskim, gdyż Podhorce przez czas dłuższy należały do rodziny Sobieskich.



Zaleszczyki. Miejsce zamieszkania marszałka Piłsudskiego.

Innym zamkiem, którego ominąć w czasie zwiedzania Podola nie można, jest pałac w Olesku, w którym

Ogólny widok Zbaraża.





Pod murami zamku zbaraskiego.

urodził się król Sobieski. Pochodzi z XIV w. Przerobiony w XVI w. na siedzibę magnacką — stanowi jeden z cenniejszych klejnotów Podola, dzięki dobrze zachowanemu stylowemu dwupiętrowemu budynkowi, wieży nad bramą wjazdową i pięknej alei lipowej, owianej wspomnieniami po zwycięzcy spod Wiednia.

A oto Trembowla, wstawiona słynną obroną przeciw Turkom, kierowaną przez Jana Chrzanowskiego i jego dzielną małżonkę Zofię. Z zamku położonego na wzgórzu, z którego rozciąga się przepiękny widok na miasto i okolicę, pozostały tylko wały, mury obwodowe, baszty i potężny frontowy rąndel. W mieście Trembowli zwraca uwagę renesansowy kościół Karmelitów i klasztor otoczony obronnymi murami. Takich miast i zamków na Podolu jest kilkanaście.

Stolicą Podola jest Tarnopol, siedziba władz wojewódzkich, położony nad Seretem. Czterdziestotysięczne schludne miasto, o żywym nurcie życia społecznego, szczyli się wspaniałym kościołem OO. Dominikanów, w którym uwagę powszechną zwraca rzeźba drewniana Matki Boskiej w pozie jakby tanecznej. Rzeźba „Madonny odwracającej pioruny” jest unikatem w całym kraju. Naprzeciw kościoła wznosi się potężny pomnik marszałka J. Piłsudskiego, a nieco dalej mury zamku,

Skała. Ruiny zamku nad Zbruczem.



ufundowanego przez hetmana Tarnowskiego. Inne pamiętki Tarnopola, to Cerkiew Św. Krzyża z XVI w., Synagoga o charakterze obronnym z XVII w i Cerkiew parafialna z kamienia łamanego. Tarnopol jest siedzibą niezwykle pracowitego, ruchliwego Podolskiego Tow. Turystyczno-Krajoznawczego, którego cenna działalność przyczynia się znacznie do spopularyzowania piękna ziemi podolskiej.

Z Tarnopola przez równiny pokryte niezmiernymi łanami pszenicy...

„Jak zasięgnie tylko oko
I daleko i szeroko
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie.
Kłosa płyną w lekkiej fali,
A gdzie widne w sinej dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne...”

pisał Wincenty Pol.

Otóż przez taki kraj, drogami prowadzącymi na wschód, przedostajemy się do Miodoborów, które stanowią inną osobliwość tej przedziwnej, hojnie przez Stwórcę licznymi darami obsypanej krainy. Miodobory, to łańcuch wzgórz, powstałych z raf koralowych na dnie ciepłego Morza Sarmackiego, zalewającego ongiś całe dzisiejsze Podole. Ciągają się one wąskim pasmem od Woroniaków, w pobliżu źródeł Seretu, na przestrzeni 250 klm przez całe Podole z północy na południe. W północnej części niezbyt atrakcyjne, w części południowej, gdzie stanowią zwarte pasmo górskie o przeciętnej wysokości 400 m, odznaczają się pięknym krajobrazem. Przełom Zbrucza przez Miodobory pod Kręciłowem — tworzy głęboki parów, przecinający w poprzek całe pasmo górskie — i należy do niezapomnianych widoków.

Najpiękniejszymi partiami Miodoborów są ponadto „Kłonicie Skały”, „Czarna Skała”, Ostra i Nazarowa Skała”, „Dziurawa Skała”, które wynurzają się nad horyzontu ponad pszenną stepową krainę poszarpanymi konturami niby jakoweś fantastyczne ruiny zaczarowanych zamczysk. Cała okolica usiana pustelniami i skalnymi monastyrkami, w których ongiś żyli pustelnicy-asceci, po których pozostały kamienne figury świętych.

Nierzadko również spotkać można kute w skale jeszcze w czasach przedhistorycznych świątynie i ołtarze bożków pogańskich.

Inną osobliwość geologiczną Podola stanowią jaskinie gipsowe w Krzywczu — również jeden z unikatów europejskich.

Jaskinie w Krzywczu i Złotym Bilczu, to wielkie komory skalne z krystalicznego gipsu i kalcytu, ozdobione ręką natury przepięknymi kryształami, mieniącymi w świetle tęczą barw.

Z komór rozchodzą się korytarze, które tworzą labirynty nierzadko kończące się zdradliwymi przepaściami.

Taką oto ziemią jest Podole — rodzinny kraj Naczelnego Wodza!

Piękno krajobrazu, zamykającego w sobie przedziwne charakter stepowy z podgóorskimi widokami, żyzny dosyt pszennych równin z malowniczością jarów, pokrytych winnicami — uzupełnione pracą licznych ludzkich pokoleń, wznoszących tu zamki i pałace, ludne miasta i wsie — tajemnice podziemi, gipsowych grot i labiryntów, wreszcie różnorodne bogactwo sztuki ludowej — wszystko to czyni z Podola najcenniejszą perłę w koronie Rzeczypospolitej.



NA FALACH CZASU

ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

Zdawałoby się, że sprawa, którą tutaj poruszymy, przestała być aktualną. Chcemy poruszyć sprawę małżeństwa i abdykacji króla Edwarda VIII. Niektórym wydawało się, że jest to rzecz prywatna, a jednak największe i najpotężniejsze imperium świata zostało projektowanym małżeństwem tak dalece silnie i głęboko poruszone, że przebieg całej sprawy był wręcz dramatyczny. Opinia publiczna zwyciężyła na całej linii. Jeszcze raz się okazało, że małżeństwo w ogóle, a małżeństwo przedstawiciela narodu w szczególności, nie jest sprawą prywatną, ale czynnem społecznym, sięgającym do poczucia solidaryzmu całego narodu, gotowego instytucji, jaką jest rodzina, bronić. 400 lat temu Henryk VIII doprowadził do rozłamu Kościoła w Anglii, gdyż chciał swoim zachciankom dogodzić i otrzymać rozwód. Dziś naród angielski uznaje instytucję małżeńską jako rzecz nierozdzielalną i uważa, że dwukrotna rozwódka nie może wychowywać potomków królów. Czyż nie jest to w gruncie oddanie największej czci zasadom głoszonym przez społeczeństwo protestanckie?

Całkiem zawiadła opinia amerykańska, która zawsze z całym parweniuszowskim snobizmem zachwyca się przepychem i królewskością monarchii angielskiej, tak jak się zachwyca reklamą neonową, a nie wnika i nie jest w stanie zrozumieć istoty tegoż majestatu. Uwidoczniło się to w większości prasy amerykańskiej, która w przeciwieństwie do poważnej prasy całego świata była zdezorientowana wypadkami i oczekiwala całkiem innego zakończenia. —

W Anglii istnieje i rozwija się rozmyślnie założona przez Ralphi Cowleya Rada Współpracy Domu i Szkoły, która zrzesza regionalne i szkolne rady, związki i ugrupowania rodziców i nauczycieli. Zakres działania tej Rady rozszerza się coraz bardziej i obejmuje przeszło 1.000 szkół. Na łamach pisma pedagogicznego „The New Era” (sierpień 1936) podkreśla inicjator i założyciel Rady potrzebę intensywnej pracy nad wychowaniem rodziców zaznacza-

jąc, że nie wystarczy tutaj dynamicznej doradcze kursy.

„NCVC News Service” reporter „Chicago Times” udał się ostatnio do sześciu sędziów najwyższego trybunału w tym mieście, zadając każdemu z nich po kolei to samo pytanie: „Czy większa liczba dzieci wpływa na liczbę rozwodów i w jaki spo-

mująco na ojca i na matkę, broniąc ich przed chęcią rozwiedzenia się... Każde dziecko stanowi niejako asekurację przed rozwodem...”

W 1928 r. założono w Wiedniu stałą poradnię i kursy dla matek, które rozwinęły się jednak w kierunku innym, niż stacje opieki nad matką i dzieckiem. Mianowicie rozrosła się ta instytucja w uczelnię, przygotowującą do wykonywania obowiązków macierzyńskich przez matki i wychowawczynie.

Program obejmuje ćwiczenia praktyczne i teorię. Wykłady obejmują: anatomię i fizjologię dziecka, higienę matki i dziecka, racjonalne odżywianie, choroby dziecięce, psychologia dziecka itp.

Praktyka zaczyna się od przewijania, sztucznego karmienia, kąpania itp., a kończy na nauce zabaw z dziećmi, zastosowaniu zabawek, wyborze książek.



Księżniczka holenderska Julianna na ślubnym kobiercu. Obecnie przebywa z małżonkiem w Krynicy.

sób?”. Oto odpowiedzi sędziów amerykańskich: „Przy większej ilości dzieci zmniejszają się możliwości rozwodowe... Nic tak nie stabilizuje małżeństwa jak kilkoro dzieci... Należało by doradzać każdej młodej parze, by miała dzieci... Dzieci są cementem, który spaja małżeństwo... Duża rodzina, większa liczba dzieci wpływają ha-

Ustalonym zwyczajem kanclerz Hitler jest stale „Honorowym Ojcem Chrzestnym” dziewiątego dziecka lub siódmego syna rodzin niemieckich. Obecnie statystycy wyliczyli, że kanclerz posiada największą liczbę „dzieci chrzestnych” na całym świecie. Liczba tych dzieci wynosi bowiem obecnie już przeszło 12.000 i stale wzrasta. Na każdy dzień kanclerstwa Hitlera przypada zatem przeciętnie dziesięcioro chrześniaków. Należy jednak zaznaczyć, że kanclerz zgadza się być honorowym ojcem chrzestnym tylko wtedy, jeżeli rodzina jest niemiecka, rasowo wartościowa i jeżeli nie można stawiać zarzutów natury politycznej. Z objęciem przez kanclerza tej funkcji wiąże się zwykle podarek pieniężny dla rodziny, przystosowany do jej warunków materialnych.

Przyjęta niedawno przez gabinet Rzeszy ustawa, dotycząca organizacji młodzieży niemieckiej, wprowadza nowy organ państwowy pod nazwą „Przewództwo Młodzieży Rzeszy Niemieckiej”, stwarzając właściwie nowy resort ministerialny. Kierownik resortu Baldur von Schirach podlega bez pośrednio kanclerzowi Rzeszy. Nowy re-



Oświetlone ulice Hagai w czasie wesela księżniczki Julianny.

sort wyposażony jest w prawo wydawania rozporządzeń w najszerszym zakresie we wszelkich sprawach, dotyczących organizacji życia młodzieży niemieckiej.

Według danych urzędowych, w roku ubiegłym organizacje młodzieży hitlerowskiej zgrupowały już 90 procent całej młodzieży niemieckiej. 10 procent pozostających na uboczu należało przeważnie do związków wyznaniowych, a przede wszystkim katolickich związków młodzieży, dozwolonych na zasadzie konkordatu. Ustawa obecna włącza tę młodzież w szranki „Hitlerjugend”, stwarzając faktyczny przymus dla młodzieży należenia do tej organizacji państwowej.

Jest to jeden z wielu sposobów, używanych w dzisiejszej Rzeszy upaństwowiania

wychowania młodzieży, które zagraża wychowaniu rodzinnemu, zwłaszcza wobec tendencji neopogańskich hitleryzmu.

Międzynar. Kom. Wychowania Rodzinnego w Brukseli zawiadamia nas, że w dniach 9 — 16 maja 1937 r. odbędzie się w Paryżu, a więc w czasie trwania wystawy międzynarodowej „Międzynarodowy Tydzień Rodzinno-Gospodarczo-Rolniczy”. W ciągu tegoż tygodnia ma się również zebrać Międzynar. Komisja Wychowania Rodzinnego. Zapisy przyjmuje skarbnik komisji p. O. Grosjean, 10 rue Maurice Liétart, Bruxelles. C. Ch. Post. 34 9968. Udział indywidualny 8 belgasów, rządu 20 belg. od delegata; stowarzyszenia 15 belgasów od delegata.



Orszak weselny księżniczki Julianny w drodze do kościoła.

Równocześnie Międzyn. Kom. Wych. Rodz. w Brukseli zawiadamia o zorganizowaniu przez nią konkursu dla „Postępu metod wychowania rodzinnego”. Przeznacza jako nagrody 3.000 fr. belg., rozdzielone na 3 nagrody po 1.000 fr.

a) poszukiwania doświadczalne nad ulepszeniem metodami urabiania charakteru;
b) za najlepsze sprawozdanie z rezultatów otrzymanych ze stosowania wykładów praktycznych na kursach wychowania rodzinnego;

c) za najlepsze sprawozdanie o doświadczeniach nad urabianiem wzajemnym charakteru młodzieży i rezultatach otrzymanych ze stosowania tej metody.

Wszelkich bliższych informacji udziela p. Paul de Wüyt, 22 Av. de l'Yser, Bruxelles, lub p. Zofia Jankowska, Warszawa, Okólnik 11, m. 34, tel. 275-70.

W Polsce.

Na zebraniach organizacji kobiecych, pracujących na wsi, stale wysuwana jest jedna z głównych utrapień kobiet wiejskich: brak fachowej pomocy dla matek.

Według danych zawartych w wydawnictwie „Polityka Społeczna Państwa Polskiego” r. 1918 — 1935 (nakł. Min. Opieki Społecznej) — ogólna liczba położnych w kraju wynosiła w r. 1933 — 9.554. Z liczby tej najmniej ich pracuje we wschodnich województwach. Przeciętnie przypada 1 położna na 3.500 ludności.

Brak pomocy fachowej i zdanie opieki nad matkami i niemowlętami na tzw. „babki” wiejskie niewątpliwie ma ścisły związek z wielką śmiertelnością niemowląt w pierwszym roku życia.

Województwa poznańskie i pomorskie dążą do zwiększenia liczby położnych na wsi przez gwarantowanie im pewnego minimum zarobku. W samorządach innych województw poparcie takiemu przeszkodził kryzys.

Poważne znaczenie mają dla wsi poza tym wszelkie kursy zdrowia, organizowane przez stowarzyszenia. Zjazd ziemianek, ze szczególnym naciskiem omawiając tę kwestię, zwrócił się do Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża o przywrócenie instruktorek P. C. K., które do niedawna kursy takie po wsiach prowadziły.

Ośrodki zdrowia czy stacje opieki nad matką i dzieckiem są zbyt rzadko po kraju rozrzucone, aby mogły spełnić swoje zadania. Gdzie one są, higienistki ich prowadzą tak niezbędne przeszkolenie matek zmieniając nieraz bardzo wiele na lepsze.

Pielęgniarek zawodowych dyplomowanych, według statystyki z r. 1933 r., było zaledwie 952. Pracują one, jako instruktorki w szkolnictwie pielęgniarskim, jako instruktorki wojewódzkie, w lecznictwie (szpitale, lecznice, pielęgniarstwo prywatne) i w pielęgniarstwie społecznym, tj. w ośrodkach zdrowia i poradniach.

Pielęgniarki dyplomowane są absolwentkami polskich szkół pielęgniarskich, których jest w kraju 5. (Roczna liczba absolwentek 140).

W związku z okresem świąt Bożego Narodzenia „Szttychy” w „Kurierze Warszawskim” przyniosły nam artykuł „Sęka” pt. „Naród osiadły — czy naród nomadów?”

Autor zwraca uwagę na jeden charakterystyczny objaw dzisiejszych czasów: ludzie zmęczeni denerwującym trybem życia, jakiego pędzą, korzystają z ferii świątecznych, żeby się wyrwać z domu rodzinnego. Dom przestał być spokojnym gniazdem, do którego wraca się, żeby wypocząć po trudach dnia, nieraz bowiem staje się kotłem, w

którym kłębią się mniej lub więcej przykre zajęcia ze służbą, z sublokatorami, z Ubezpieczalnią Społeczną, a nawet z komornikami. Dlatego, korzystając ze świąt, „mnóstwo osób wyjeżdża z miasta. Byle gdzie, nieraz — dokąd oczy poniosą. A więc do pensjonatów, w góry, na wieś, nawet do innego miasta! — aby dalej od dokuczliwej powszedniości. O ile rozumiemy to u ludzi młodych, stęsknionych za sportami zimowymi, których w miastach uprawiać niepodobna — staje się ten nagminny pęd w świat czymś zatrwającą u osób w starszym wieku. Przystaje to już być normalnym week-endem — staje się neurasteniczną ucieczką! Wkraczamy w jakiś okres tulaczo-wędrowny. Do tego stopnia obrzydają nam (ludzie i okoliczności) własny nasz dom, że machamy nań ręką i przenosimy się, bodaj na kilka dni, do pensjonatu, domu wychowawczego, a nieraz — tylko schroniska. Już coraz mniej rodzin gromadzi się, w dniu wigilijnym, przy obrzędowym, biesiadnym stole, żeby w gronie najbliższych podzielić się opłatkiem. Już coraz mniej rodzin zapala choinki, radując się radością dzieci. Coraz mniej rodzin przestrzega tradycji”.

W dalszym ciągu autor zwraca uwagę, że jeśli dotąd stawiano Polakom zarzut, że nazbyt osiadły tryb życia, jaki pędzili nasi przodkowie, przyniósł Polsce znaczne straty — to obecny tryb życia, jaki zaczyna się wkradać do coraz szerszych warstw społecznych, a mianowicie ucieczka od domowego ogniska, może przynieść naszemu narodowi dużo więcej zła. Tak pieczołowicie chroniona przez naszych dziadów spistość komórki rodzinnej, która dała nam w rezultacie niepodległość — teraz w wolnej Ojczyźnie musi być podstawową dalszego rozwoju narodu.

Z. Jankowska

Z TEATRU

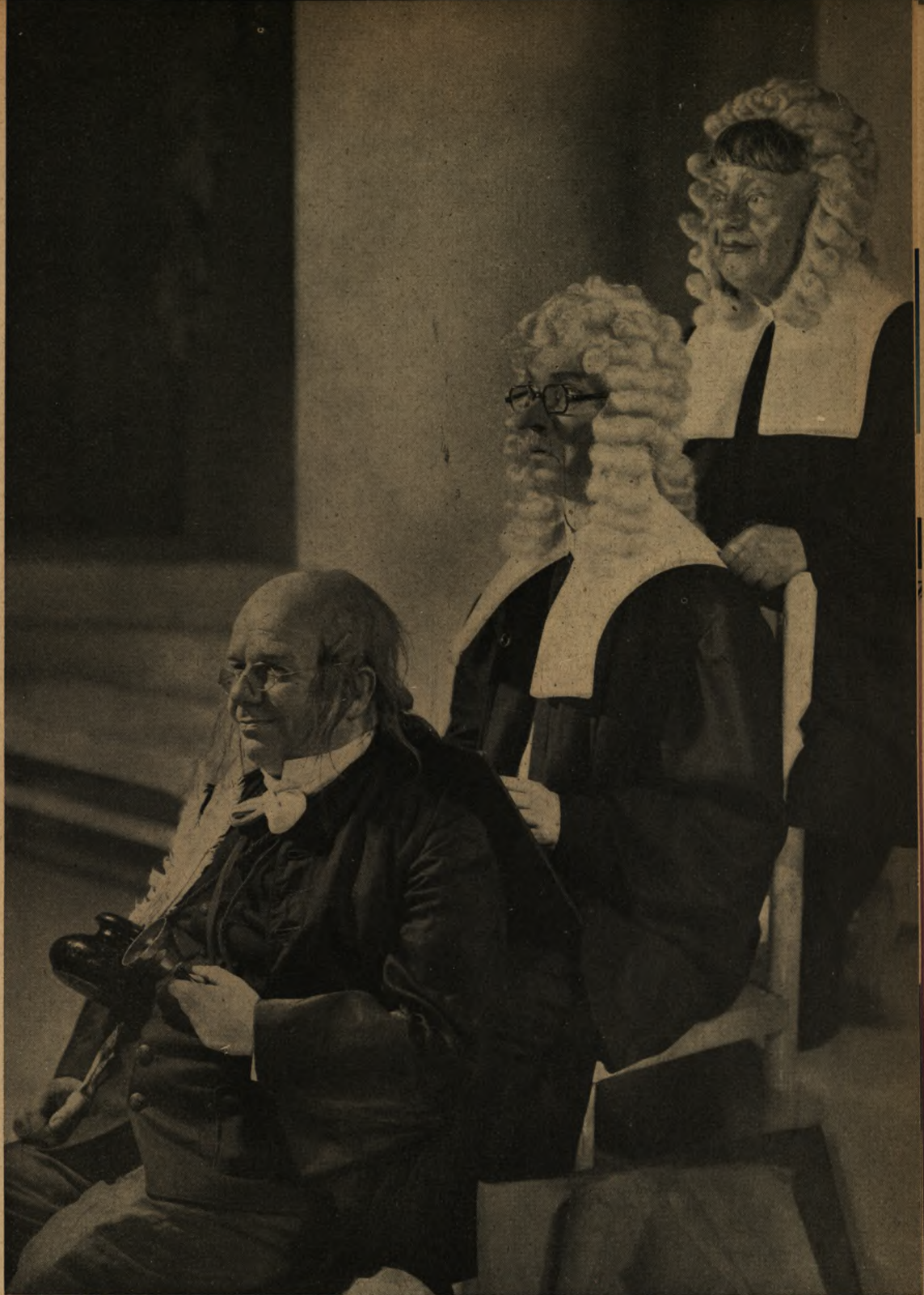
Najlepszy teatr to ten, który nie tylko bawi, ale uczy, walczy i uszlachetnia.

Grecy stworzyli pojęcie katharsis, mające oznaczać właśnie to zjawisko podniesienia na duchu, dokonanego przez teatr. Płynęło to zresztą ze ścisłego związku teatru w jego początkach z kultem religijnym.

Tę rolę uszlachetniająco wyzwalającą spełniać miała przede wszystkim tragedia. Tak też ją pojmowali wielcy autorzy, jak Sofokles.

Lecz to „wyzwolenie” przynieść też może i komedia, jeśli potrafi sięgnąć głębiej w rdzeń stosunków ludzkich i wypowiedzieć jakąś jedną czy drugą prawdę społeczną.

Taką jest właśnie komedia Beaumarchais „Wesele Figara”. Uderzenie autora w resztki feudalizmu, z jego różnymi niesprawiedliwościami, upostaciowanymi w efektownym dramatycznie „ius primae noctis”, dziś już się zdezaktualizowało.



Trzech sędziów z „Wesela Figara”. U góry Zelwerowicz jako Gaska.

Ale w niczym nie straciły aktualności jego inwektywy pod adresem większych i mniejszych podstępów, którymi posługują się ludzie we wzajemnych stosunkach.

Figaro, figura na pozór nikiemna, pełna podstępności, mimo wszystko jednak reprezentuje tęsknotę za jakimś ładem moralnym w życiu, za wytnięciem od nędzy i zakłamania świata.

Wcieleniem tego ideału ma być jego żona Zuzanna. Nic dziwnego więc, że walczy jak lew, by uchronić ją przed niegodziwością świata i tego, który tę niegodziwość wciela, swego pana.

Kłamstwem, podstępem, intrygą wodzi więc hr. Almavivę za nos, byle tylko uchronić

nić Zuzię od konsekwencji „ius primae noctis”.

Te szelmostwa Skapena, te chytrłości i podstępny, które nie są jednak owocem podłości serca, lecz przebiegłości umysłu — zdobywają sympatie widza. Rozumiemy, że Figaro nie może inaczej postępować, by nie przegrać najważniejszej stawki swego życia, nie tylko honoru, ale i męskiej ambicji.

Uciekając się do niesprawiedliwości i wężowej chytrłości apeluje do naszego poczucia sprawiedliwości i z jej hasłem na ustach ten łotrzyk, walczący po prawicy do brej sprawy, ostatecznie zwycięża.



„Tajemnica lekarska”. Od lewej strony Benda i Grywińska.

To teatralne zwycięstwo jest przede wszystkim triumfem Węgierki jako Figara. Wcielił on z doskonałą swobodą i naturalnością komediowy demonizm, który reprezentuje ten arcycyrułek i arcyintrygant.

Partnerkę Figara, Zuzię, kreowała Romanówna, wyposażając ją w cały swój wdzięk z niezrównaną, pieniącącą się jak szampan, werwą.

Hr. Almagiva był Solarzski, ciekawie i z dezynwolturą postaciując resztki feodalnego autorytetu i rokokowego charme'u.

Rozkoszne wybiegi, amory i wapory z niedbywanej żony, całą strategię kobiecego

P. Przybyłko-Potocka w sztuce „Lato w Nohant”.

serca mistrzowsko rozwinęła Z. Lindorfówna, jako Rozyna.

Wśród kapitalnej galerii groteskowych figur, które ożywiają przedstawienie, szczególnie soczysty rysunek dał Zelwerowicz sędziemu Gąsce, sługusowi Basilio, Małkowski ogrodnikowi.

Sulima jako Marcelina, Lidia Wysocka jako Franusia, Wasiutyńska jako Cherubinek — oto szereg kreacji godnych uwagi.

„Tajemnica lekarska” Fedora, wystawiona w Kameralnym, jest to co się nazywa sztuką z problemem. Doskonale majsterstwo teatralne autora „Matury” każe nam jednak słuchać z naprężoną uwagą perypetii, które ten problem ilustrują.

Sprawa jest i prosta i skomplikowana. Doktor Anna dzieli swe życie między powołanie zawodu lekarskiego a obowiązki żony młodego malarza, istotnie głęboko w

niej zakochanego. Dzieli jednak bardzo niewspółmiernie, gdyż mąż widuje ją niedługo co drugi dzień i to, bywa, że nagle wśród nocy telefon wzywa ją do sali operacyjnej.

„Opuszczony”, „zaniebyszony” małżonek znajduje pewną pociechę w towarzystwie szwagierki, Marty, która rzeczywiście otacza go dyskretną opieką i troskliwością.

Ta nienaturalna sytuacja kończy się katastrofą. Marta oczekuje dziecka.

W wysoce dramatycznej formie przedstawia autor scenę między siostrami, w której wśród półśłówki i domyslników pada właściwa diagnoza: dlaczego doszło do tej katastrofy.

Postać kobiety-lekarki, która zapomniała o obowiązkach żony, bardzo plastycznie odtworzyła p. Grywińska.

Senkundował jej, doskonale uwypuklając artystyczne rozkapryśnienie, K. Benda jako małżonek-malarz.

K. Adwentowicz dał znów kapitalną figurę, kreując postać lekarza zakochanego mimo siwizny w swej asyście. Scena oświadczyń wobec usypiającej ze znużenia lekarki — to arcydzieło ekspresji.

„Judyta” — to właściwie studium pychy — powiada J. Giraudoux — studium psychologiczne. Nie mogłem się pogodzić z obrazem tej młodej dziewczyny, idącej z głową Holofernesa w rękę... Pycha jest właściwie głównym motorem wszystkich tragedii na scenie i w życiu. Dlatego właśnie jest tak interesująca. Wszystkie zmiany w Judycie są więc tylko naturalnym następstwem samej pychy. Zarówno te stany, w których Judyta czuje się drobna i mała, jak i te, gdy rozsadza ją poczucie mocy. Również końcowa halucynacja, gdy żołnierz przemienia się w wysłannika sił wyższych, jest tylko wytworem pychy”.

Tak wyjaśnia autor zasadniczy punkt wyjścia swej sztuki o „Judycie”, wystawionej w T. Nowym.

Niewątpliwie pierwszym grzechem jest pycha. Nie należy jednak do niej sprowadzać wszystkich elementów motorycznych życia i dramatu.

Zgodzić się możemy, że motywy sprzeciwu Judyty wobec woli Bożej, domaganie się znaku specjalnego powołania, tchną py-

„Intryga i miłość” w Teatrze Powszechnym.



chę. Ale autor, który już i tak zanachronizował cały konflikt Judyty przez wyposażenie sztuki w nowoczesne pojęcia i wysłownienie, mógł jej ostatecznie włożyć w usta argument, że przecież bywają fałszywe powołania, jak są fałszywi prorocy, że przy tym człowiek jest istotą wolną i że może wybierać nie tylko środki, ale i cel. A tu tymczasem prorocstwo o Judycie, narzuca jej zarówno jedno i drugie: ma ocalić miasto i to w ten sposób, że powinna zabić wroga. Nienawistnego wroga.

Judyta nie czuje tej nienawiści, która by ją miała popchnąć aż do morderstwa.

Wreszcie jednak decyduje się podporządkować woli Boga. Postanawia zatem pójść do obozu Holofernesa, by go skłonić wyszukaną elokwencją do ustąpienia.

Chce więc zachować sobie przynajmniej dobór środków, zamiast zabijać, chce argumentować. Znowu akt pychy.

Ostatecznie jednak zabija. I znowu próbuje zarezerwować sobie prawo uzasadnienia, doboru argumentów.

Zabiła nie przez nienawiść, lecz przez miłość! Gdyby to była miłość do swego narodu, jeszcze zrozumiemy, ale to jest miłość do Holofernesa, miłość zazdrosna, czy powiedzmy pyszna, która uważa, iż za jej łaski nawet cena życia nie jest za wielka.

Autor jednak kładzie wreszcie kres tym dowolnościom fantazji czy pychy Judyty. Wkraczają rabini, którzy narzucają swoją interpretację jej czynu, zgodną zresztą z prorocstwem. Miał o Judycie otrzymuje swoją ostateczną, oficjalną redakcję. I Judyta kapituluje, rezygnuje ze swego wolnego sumienia, by stać się narzędziem historii.

Tę szeroką skalę wahań Judyty z głęboką inwencją przedstawiła Eichlerówna. Nadała ze szczęśliwym umiarem postaci biblijnej bohaterki ton nowoczesnego sceptycyzmu, który przenika w ogóle całą sztukę.



Schadzka w ogrodzie z „Wesela Figara”.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

(Kościół w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych i w Indiach).

Nadchodzą wieści z Niemiec o nowej fali prześladowań Kościoła Katolickiego. Bząd hitlerowski z początkiem nowego roku rozpoczął w Bawarii akcję zwalniania

ze stanowisk nauczycielskich duchownych i zakonnic katolickich.

Po ogłoszeniu orędzia biskupów katolickich w Rzeszy Niemieckiej odezwały się głosy, wyciągające zbyt pochopne i daleko idące wnioski, jakoby orędzie to było zapoczątkowaniem nowego okresu, pewnego rodzaju ugody w taktce hierarchii Kościoła.

Scena sądu z „Wesela Figara”.



ła w stosunku do hitleryzmu. Zachodzi pytanie zasadnicze, posiadające olbrzymią wagę dla najbliższej przyszłości Europy: czy taka ugoda jest możliwa?

W związku z tym pytaniem ukazała się ciekawa publikacja profesora paryskiej Sorbony, Henryka Lichtenberga, pt. „L'Allemagne nouvelle”, w której zwłaszcza dwa rozdziały „Mythe de la race” i „Problème religieux” rzucają jaskrawe światło na ten fenomen niezwykle, jakim ze stanowiska religijnego jest ruch hitlerowski. Prof. Lichtenberger daje do zrozumienia, że hitleryzm — to nie tylko doktryna polityczna, ale przede wszystkim *sektą religijną*, przeciwstawiającą się zdecydowanie nauce Kościoła, stwarzającą nowe dogmaty.

Emanacja hitleryzmu, tzw. ruch „niemieckich chrześcijan” (*Deutsche Christen*) od trzech lat już uderza w same podwaliny nauki Kościoła katolickiego. Już w czasie pamiętnej deklaracji, ogłoszonej w Berlinie w Sportpalast, zwolennicy hitlerowskiego kościoła stwierdzili, że nie uznają „teologii grzechu” rabina-apostoła Pawła, tej teologii, która wytworzyła w człowieku kompleks niższości. Stwierdzają oni, że modlitwa zawarta w „Ojcze nasz”: „zbaw nas ode złego” jest niegodną tych, którzy noszą w sobie poczucie heroizmu, że „chryścianizm judo-rzymski”, głoszący ideę pokory i wyrzeczenia się, zahamował w ludzkości twórczy pierwiastek walki zdobywczej. „My chcemy”, mówią zwolennicy hitlerowskiej religii, „w ostateczności utrzymać kult dla Chrystusa, ale odrzucamy krzyż... My chcemy Chrystusa bohatera a nie ukrzyżowanego”.

Widzimy więc, że jest to doktryna, nosząca wszelkie znamiona sekcjarstwa religijnego, jest to anty-kościół. Biskupi katolicy w zbiorowym liście pasterskim, ogłoszonym w Niemczech, z ubolewaniem zaznaczyli: „W kraju tym dostrzegamy, jak oddaje się wielokrotnie Führerowi takie honory, jakie są należne tylko Bogu. Ogłasza się, że wola Führera ma być normą, regulującą głos sumienia każdego obywatela; przypisuje się temu człowiekowi atrybuty najwyższego kapłana i pośrednika między Bogiem a ludźmi.

Ze Hitler jest poczytywany przez swych zwolenników za najwyższy autorytet w sprawach sumienia, dowodem tego deklaracja, jaką „niemieccy chrześcijanie” ogłosili: „Chcemy wprawdzie pozostać chrześcijanami, ale tylko dlatego, że taką jest wola naszego Führera Adolfa Hitlera. Jeżeli jutro ta wola będzie inną, jeżeli wyrazi on swoje życzenie, abysmy zerwali wszelkie węzły z chrześcijaństwem, to uczynimy to bez najmniejszego wahania”.

Słusznie Georges Goyau z Akademii Francuskiej w artykule ogłoszonym w paryskim „Gringoire” pt. „Hitlerisme et Christianisme” — załączając komentarz do powyższej deklaracji „niemieckich chrześcijan” — zaznaczył: „Jest to zwykły ceszaropapizm, ubóstwienie człowieka”. Wprawdzie sam Führer, w oficjalnym programie partii w art. 24 polecił zamieścić takie zastrzeżenie: „Narodowy socjalizm stoi na stanowisku pozytywnego chrześcijaństwa nie wiążąc się jednak z żadnym wyznaniem” — ale, jak zauważył nawet teolog protestancki dr Soderbloem z Uspali, oświadczenie tego rodzaju równa się zupełnie przekreśleniu chrześcijaństwa. Być chrześcijaninem — to znaczy należeć do Kościoła Chrystusowego i uznawać w Chrystusie Boga-Człowieka.

Wyraźniej stawia sprawę duchowy kierownik hitleryzmu dr Rosenberg: „Nasza

religia” mówi on, „powinna być przede wszystkim religią krwi i rasy germańskiej, to znaczy religią nordycką”. A więc mamy tu do czynienia z nową sektą religijną, która przez stworzenie potężnego aparatu politycznego usiłuje przeciwstawić się zdecydowanie katolicyzmowi. Niedawno publicysta narodowo-socjalistyczny Dinter w odpowiedzi na pytanie, czy ugoda między hitleryzmem a Kościołem katolickim w przyszłości będzie możliwa, oświadczył: „Kościół rzymsko-katolicki pod grozą samounicestwienia nie może zaprzestać walki z narodowym socjalizmem”.

Mieli więc rację przedstawiciele hierarchii katolickiej w Niemczech, jak kardynał Faulhaber z Monachium, arcybiskup Groeber z Fryburga, biskup Callen z Moguncji — gdy podkreślali w sposób wyraźny te fundamentalne różnice, jakie zachodzą między „religią nordycką” a katolicyzmem.

Niemcy Hitlera chcą spełnić wielką misję dziejową — chcą pokonać bolszewizm światowy. Dnia 15 października r. ub. dr Rosenberg w przemówieniu do przedstawicieli kół partyjnych hitlerowskich oświadczył: „Nie stają przeciw sobie ani proletariaty, ani mieszczaństwo, ani komunizm i faszyzm, lecz bolszewizm światowy staje przeciw Europie”.

Tak, to prawda! Ale walkę z bolszewizmem światowym może wygrać tylko potęga równie światowa, która już doświadczeniem 2 tysięcy lat stwierdziła, że tylko w imię Chrystusa Ukrzyżowanego można przezwyciężyć egoizm i chaos tego świata. Zdeformowany krzyż hitlerowski do takiej misji się nie nadaje. Pomyłką tragiczną ci, którzy dawną ideę pochodzącego z krzyżowego przeciwko barbarzyństwu Wschodu zamieniają na pochód swastyki.

Wizyta kardynała sekretarza stanu E. Pacellego w Stanach Zjednoczonych zwróciła uwagę prasy światowej na niezwykle rozwój katolicyzmu w tym kraju, skupiającym wszystkie narody i rasy. Zwraca się przy tym uwagę na jaskrawy kontrast, jaki dziś przedstawiają dwa olbrzymie państwa, obejmujące wielkie obszary globu — Stany Zjednoczone i Rosja — tak różne w swoich dążeniach społecznych i duchowych.

Rosja sowiecka, pod presją sił antychrystusowych łamiąc dusze ludzkie i przez straszliwy terror usiłująca kontrolować najgłębszą sferę sumienia, jaką jest związek człowieka z Bogiem — oraz Stany Zjednoczone, które, choć pełnej tolerancji dla wszystkich wyznań i przekonań religijnych, swych obywateli, okazują jednocześnie coraz większy szacunek dla potęgi duchowej Kościoła katolickiego, który w owym państwie w ostatnich czasach staje się niemal

symbolem uczciwości w życiu indywidualnym i społecznym.

Nawet innowiercy z podziwem obserwują wzrastającą ciągle żywotność katolików amerykańskich. W protestanckim piśmie „Time and Tide” pisze pewien niekatolik: „Między przemianami, które w ostatnich latach dokonały się w Ameryce, pewnie żadna nie zasługuje na taką uwagę, jak to ciche narastanie znaczenia i potęgi Kościoła katolickiego”. — Według „The Official Catholic Directory” z roku 1935 było w Stanach Zjednoczonych wszystkich wiernych 20.523.000, to znaczy, że w ciągu r. 1934 przybyło ponad 200.000 katolików. Oblicza się, że w ostatnim dziesięcioleciu przybyło w U. S. A. katolików blisko 2 miliony.

W działalności katolików amerykańskich dostrzegamy przede wszystkim doskonale zorganizowaną *metodę oddziaływania na mentalność ludzi dzisiejszych*. Zwłaszcza na wskroś nowoczesną metodę apostołstwa widzimy tam w związku młodzieży katolickiej. Jak donosi tygodnik „America” z 8. IX 36 — w artykule Jamesa A. Maguera o działalności amerykańskich akademików na polu kultury katolickiej — powstały w ostatnich latach we wszystkich większych miastach Stanów Zjednoczonych katolickie kluby młodzieży uniwersyteckiej tzw. „Study Clubs”, które prowadzą systematyczną akcję oświadczenia religijnego wśród szerokiej masy, uwzględniając najnowsze zdobycze wiedzy. Te kluby wiedzy katolickiej organizują referaty z różnych dziedzin, jak liturgia, historia Kościoła, apologetyka, eszeregeza biblijna, sztuka i literatura w oświeceniu katolickim — nie tylko dla katolików, ale i dla innowierców, a są prowadzone w tak ciekawy sposób i z takim obiektywizmem, że powoduje wiele nawróceń.

Te kluby akademickie wiedzy religijnej poza akcją apostołską mają na celu urobienie życia duchowego wśród własnych członków i przystosowanie ich do roli kierowniczej w Akeji Katolickiej. W ostatnim roku w samym tylko mieście Chicago akademicy katolicy urządzili 3 kursy z zakresu liturgii, w których wzięło udział ponad 2.000 osób, należących do różnych wyznań. Jest to więc akcja misyjna w całym tego słowa znaczenia.

Również na polu szkolnictwa katolicy amerykańscy wykazują zrozumienie dla najnowszych metod pedagogicznych, czego dowodem stale wzrastający autorytet szkolnictwa katolickiego. Sprawozdanie z roku szkolnego 1935/1936 wykazało, że katolicy w Stanach Zjednoczonych wydali na szkolnictwo olbrzymią sumę 139 milionów 626 tysięcy dolarów. Ilość młodzieży uczęszczającej do szkół katolickich wyniosła w owym czasie 2 miliony 605 tysięcy osób — przy czym stwierdzono wielką ilość wypadków, że innowiercy posyłają swe dzieci do szkół katolickich, które w Stanach Zjednoczonych uchodzą za najlepsze uczelnie, kształcejące charakter i przygotowujące dzielnych obywateli. — Ilość szkół katolickich na terenie U. S. A. w ostatnich czasach wynosi 10.500 oddzielnych budynków, a ilość nauczycieli i nauczycielek 82.600 (por. sprawozdanie szefa wydziału szkolnictwa przy „National Catholic Welfare Conference” za rok 1935/1936).

Katolicy amerykańscy umieją połączyć w swej działalności dwie cenne zalety: gorliwość apostołską ze zdrowym zmysłem organizacyjnym; ich katolicyzm nie opiera się tylko na nastrojach i porywach uczuciowych, ale zachowując dynamikę życia we-

RYPA

DIA OCHRONY PRZED ANGINĄ GRYPĄ I CHOROZAMI Z PRZEZIĘBIENIA

PANACRIN
BUKOWSKIEGO

wnętrznego jest zarazem systematycznie pogłębiany przez zdobywanie wiedzy religijnej i jednocześnie wywiera poważny wpływ na bieg życia społecznego. Ze Stanów Zjednoczonych wyszła inicjatywa kontroli moralnej nad nowoczesną wytwórczością filmową (Legion of Decency). W kraju tym katolicy prowadzą systematyczną walkę z prądami rozkładowymi w sztuce i literaturze a jednocześnie w obecnym okresie przełomowym, w dążeniach do nowych form ustrojowych, głoszone są tam wśród szerokich mas zasady przebudowy społecznej w duchu encyklik papiejskich.

Być może, iż Opatrzność — w czasach, gdy skłócona Europa przechodzi bolesny kryzys duchowy i ekonomiczny — szykuje na terenie Stanów Zjednoczonych nowy triumf Kościoła, wykazujący, że wszyscy ludzie dobrej woli, ze wszystkich narodów i ras stając zdecydowanie na Opcie Piotrowej mogą znaleźć w życiu swym indywidualnym i zbiorowym najsilniejsze oparcie.

Specjalna sesja organizacji, poświęconej pedagogice katolickiej w Stanach Zjednoczonych „Konfraternia Chrześcijańska Doktryny Katechetycznej” („Confraternity of Christian Catechetical Doctrine”) ma się wkrótce zebrać, aby omówić sprawę rewizji dotychczasowego tekstu Pisma Św. w języku angielskim. Okazało się bowiem, że dotychczasowe angielskie tłumaczenia Pisma Św. z Wulgaty wymagają pewnych poprawek, do których wprowadzenia skłaniają: 1° najnowsze wyniki badań na polu egzegezy biblijnej, które, jak wiadomo, w ostatnich latach, zwłaszcza wskutek odkryć naukowych z dziedziny archeologii biblijnej, posunęły się znacznie naprzód; 2° pewne zmiany, jakie zaszły w strukturze samego języka angielskiego, który, jak każdy żywy język, ulega ewolucji.

Obecny tekst Nowego Testamentu, używany przez katolików w Stanach Zjednoczonych, jest tłumaczeniem z XVI w. tzw. „tłumaczeniem z Reims”. Katolicy angielscy, wypędzeni przez Henryka VIII i Elżbietę, schronili się do Francji i tu powstało tłumaczenie angielskie Biblii dla wszystkich katolików. W Reims Grzegorz Martin oraz Wilhelm Allen, zwany „kardynałem Anglii”, prefekt Biblioteki Watykańskiej — wydali w r. 1582 w angielskim tłumaczeniu Nowy Testament według Wulgaty z komentarzami dogmatycznymi i apologetycznymi. St. Testament ukazał się w Douai w latach 1609 — 1610. Starano się teksty hebrajskie i greckie oddać jak najdokładniej, na czym język angielski nieco ucierpiał.

W XVIII w. dr R. Witham, teolog angielski, ogłosił rewizję tłumaczenia z Douai i w r. 1749 wydał w Londynie w 5 tomach Biblię poprawioną, która stała się wzorem dla następnych wydań w Anglii, Irlandii, Szkocji oraz w Stanach Zjednoczonych.

Ostatnie wydanie Pisma Św. w tłumaczeniu angielskim dla katolików dokonane zostało przez Jerzego Leona Haydocka i wydane w Manchesterze w r. 1812; jest ono wzorowane na tłumaczeniu z Reims z nowymi dopiskami i komentarzami, uwzględniającymi późniejsze zdobycze na polu studiów biblijnych.

Tłumaczenie Haydocka zostało zaaprobowane na synadzie w Baltimore jako zgodne z tekstem Wulgaty. To ostatnie tłumaczenie było powszechnie używane przez katolików w Stanach Zjednoczonych aż do ostatnich czasów.

Ponieważ jednak tzw. „Biblijne Towarzystwo” protestanckie, propagujące tłumaczenia Biblii, nieraz podane tendencyjnie, szerzy zamęt i próbuje dotrzeć nawet do sfer katolickich — postanowili egzegeci katolicy Stanów Zjednoczonych podjąć rewizję dawnego tłumaczenia Biblii, aby przygotować tekst możliwie najlepszy, odpowiadający potrzebom językowym oraz rozkwitowi nowoczesnemu nauk biblijnych. Tekst ten ma być zaopatrzonej w wyczerpujące komentarze.

Stany Zjednoczone — to jedyny na świecie konglomerat wszystkich narodów i ras. I na tym terenie tak różnorodnym, stanowiącym jakby reprezentację całej ludzkości, Kościół katolicki rozwija się z wielkim rozmachem. Na ogólną ilość mieszkańców Stanów Zjednoczonych 127 milionów 172 tysiące — katolicy liczą tam już 20 milionów 522 tysiące; obliczają przy tym, że w ostatnim dziesięcioleciu przybyło tam katolików blisko 2 miliony (1.869.095). Liczba kapłanów wzrosła do 30.250; kościołów do 18.344; szkół katolickich — 10.429; szpitali — 669.

Ten sam rozwój życia katolickiego w St. Zj. dostrzega się na polu piśmiennictwa i prasy. Niedawno „Stowarzyszenie Prasy Katolickiej w St. Zj.” („Catholic Press Association”) obchodziło 25-lecie swego istnienia. Zjechali z całego kraju do Columbus w stanie Ohio najwybitniejsi publicyści katolicy i pod przewodnictwem założyciela tej organizacji, ks. biskupa Jakuba J. Hartleya, obradowali nad obecnym położeniem prasy katolickiej i jej zadaniami na najbliższą przyszłość.

Stwierdzono, że prasa katolicka w ciągu lat ostatnich poczyniła znaczne postępy. Obecnie na terenie St. Zj. wychodzi 3.300 różnych biuletynów parafialnych przy ogólnej ilości nakładu 1.740.000 egzemplarzy. Wszystkich czasopism katolickich według ostatnich statystyk znajduje się w St. Zj. 4.631, a ich ogólna liczba nakładu wynosi 8.990.657 egzemplarzy.

W czasie obrad amerykańskiego „Stowarzyszenia prasy Katolickiej” poruszano również zadanie na najbliższą przyszłość. I tu przed publicystami katolickimi stanęły 3 wielkie zadania: 1° Podawanie prawd katolickich w oświeceniu najnowszych zdobyczy wiedzy i cywilizacji. 2° Uzasadnienie katolickich metod wychowawczych w zastosowaniu do potrzeb dzisiejszego szkolnictwa. 3° Oświeclanie problemów społecznych z nauką Kościoła.

Zwłaszcza to ostatnie zadanie prasy katolickiej nabiera wielkiego znaczenia, biorąc pod uwagę przełomowy okres w życiu społeczeństwa St. Zj., poszukującego nowych dróg.

* * *

Europejczycy zacieśniłi swój horyzont widzenia: zajęci prawie wyłącznie kryzysem cywilizacji zachodniej, nie zdają sobie na ogół należycie sprawy z tych przemian, jakie w naszych czasach odbywają się na Wschodzie na wielkich obszarach Azji. Zwłaszcza w krajach tak potężnych jak Chiny i Indie budzi się wśród milionów Azjatów nowa świadomość zbiorowa i narasta bunt przeciw supremacji Europy, co w niedalekiej już przyszłości może zmienić zasadniczo losy ludzkości.

Znawca Wschodu arcybp Guébriant, mówiąc o tym przebudzeniu grzebiących od wieków nacji, zwraca szczególnie uwagę Europejczyków na Indie, skąd może popłynąć nowa fala religijnego odrodzenia na całą Azję... Indie, olbrzymi kraj, tak wielki jak cała Europa bez Rosji, kraj, którego

ludność wynosi ponad 300.000.000 mieszkańców, tzn. blisko piątą część całej ludzkości... Ten kraj — jak donosi obecnie delegat apostolski dla Indii Wschodnich — msgr Leon Kierkels — przechodzi głębokie przeobrażenia pod względem politycznym, społecznym, kulturalnym i religijnym. Te zmiany nas, katolików, tym bardziej interesują, że mogą w wielkim stopniu wpłynąć na dalszy proces nawrócenia Indii (por. „Die Kulturellen Probleme Indiens und die Katholische Mission”. Schönerer Zukunft, 25 Oktober 1936).

Okazuje się mianowicie, że pod wpływem przenikających do Indii zdobyczy cywilizacji europejskiej, zmniejszają się tam stale objawy fanatycznej kastowości, która w dziele nawracania Indii stanowiła wielką przeszkodę. Z tym duchem kastowości musieli w ciągu wieków liczyć się misjonarze. Właśnie w roku bieżącym upływa 280 lat od zgonu słynnego misjonarza Indii, ojca Roberta de Nobili, który w r. 1606 wystąpił z nowym systemem nawracania Hindusów. Zachowywał on między innymi neofitami podział na kasty i w ten sposób prowadził dzieło nawracania z wielkim sukcesem, miał ochrzcić ok. 100.000 osób z różnych kast: w tym wielką ilość pariasów. Lecz metoda ta została potępiona przez papieża Benedykta XIV.

„Osservatore Romano” z 27 października r. ub. w art. „La classe povera dell' India e l'opera missionaria” stwierdza, że nieszczęsnymi pariasów, tzw. „nietkalnych”, z którymi reszta ludności hinduskiej unika wszelkiej styczności. Indzi wzgardzonych i wzdzielczonych, znajdując się obecnie w Indiach ok. 60.000.000 (!).

Ta ludność wzgardzona i biedna garnie się jednak b. chętnie do Kościoła i Boga. Lecz brak środków materialnych i misjonarzy oraz nienawisć potężnych królowych religii ku katolicyzmowi utrudniają nawrócenia. Mimo to zdołano pozyskać Wierze św. ok. 280.000 tych wydziedziczonych.

Obecnie jednak duch kastowości maleje w Indiach. Po konferencji „nan-indyjskiego” kongresu w Abmehabad zapomniano o zakorzenionych przesadach pod wpływem chwilowego entuzjazmu różnych kast hinduskich w dążeniu do niepodległości. Wtedy to bramini i pariasy spożywali jedzenie razem z pariasami przy jednym stole. Uczta ta miała dla Indii głębokie rewolucyjno-symboliczne znaczenie, świadczyła ona bowiem o kategorycznym zerwaniu z przeszłością i o zaneczkowaniu nowej epoki w dziejach tego kraju.

To osłabienie ducha kastowości ułatwi w wielkim stopniu — jak twierdzi delegat apostolski msgr Kierkels — akcje misyjną w Indiach. Ostatnie rozporządzenie Stolicy Apostolskiej — nie uznając wprawdzie podziału ludności na kasty — nakazuje jednak misjonarzom poszanowanie narodowych tradycji hinduskich, które nie sprzeciwiają się zasadom katolicyzmu — co wobec wzrastających w Indiach dążeń narodowych — włącznie również na rozwój misji.

Obecnie Indie liczą już 8 arcybiskupstw, 22 diecezje i 2 prefektury apostolskie. W ciągu ostatnich lat 50 ilość katolików wzrosła tam z 1.600.000 do 4.000.000. Należy spodziewać się — jak twierdzi msgr Kierkels — że proces nawrócenia Indii będzie odtąd postępował znacznie szybciej.

Z FILMU

„Młody hrabia”, wyświetlany w Filharmonii, wprowadził nas w atmosferę bez troski, którą doskonale umie wyczarowy-



Simone Simon i H. Marshall w f. „Matura”.

wać świetna Any Ondra. Perypetie młodego hrabiego oparte są o stary, ale jary kawał farsowy z przebieraniem się. Istotny walor tego tricku jest wyłącznym dziełem naszej artystki. Jej temperament, jej ruchliwość żywego srebra, wszystko to oddane na usługi naturalnej „vis comica”, w którą wyposażona jest artystka, stawia widza wobec nieodpartej konieczności śmiania się do rozpuku.

Wesołą komedię zluzował na ekranie Filharmonii dramat „Stradivari”. Otrzymał w nim nową, wysoce interesującą wersję historii powstania niezrównanych, jedynych w swej doskonałości skrzypiec mistrza z Cremony, ucznia wielkiego Amatiego. Skrzypce „Beatrycze”, przeklęte przez mistrza wskutek zawiedzionej miłości do tej, której imię noszą, wędrują po świecie, przynosząc swym posiadaczom nieszczęście i śmierć. Ginie pod gilotyną francuski hrabia, ginie nad Berezyną napoleoński pułkownik, idący na wyprawę do Moskwy, pada od kuli cygan węgierski, któremu ofiarowała skrzypce rosyjska księżniczka. Wreszcie skrzypce dostają się do rodziny węgierskiego magnata. Jego narzeczona umiera przedwcześnie. Rozzalonego strata spędza życie bezżennie, a skrzypce zapisuje swemu bratankowi. I tu wreszcie zamyka się cykl nieszczęść. Skrzypce łączą ostatecznie dwa młode kochające się serca. Oczywiście niejedną przeszkodą stanie na ich drodze. Wojna, zazdrośna miłość rywala. Ale wreszcie melodia skrzypiec, odzywających się w najważniejszych chwilach, daje znać o zbliżającym się happy endzie.

Obecnie na ekran Filharmonii weszła doskonała, pełna humoru i fantazji komedia „Robert i Gloria” z W. Forstem i Magdą Schneider.

„Barbara Radziwiłówna” niewątpliwie jest pierwszym bez większych uchybień zrealizowanym polskim filmem monumentalnym. Fabuła jego, tak popularna, budzi powszechne zainteresowanie wśród widzów. A naczelną kreacją Jadwigi Smosarskiej musi pociągnąć wielbicieli jej talentu, który bodaj znalazł najszcześliwszą ramy do zabłyśnięcia. Typ urody Smosarskiej szczególnie korzystnie kojarzy się z postacią żony Zygmunta Augusta.

Wystawa filmu, zrealizowanego w autentycznych wnętrzach historycznych naszych budowli, imponuje przepychem i majestatem. „Mise en scene”, przeprowadzone kulturalnie, budzi prawdziwą satysfakcję.

Skoro potężna wytwórnia „20-th Century-Fox” postanowiła nadać arcydziełu Szekspira kształt filmowy i zaangażowała do odtworzenia roli czołowej najwybitniejszą aktorkę współczesną, Elżbietę Bergner, w sferach filmowych całego świata nie było żadnej wątpliwości, że powstanie film, który będzie ewenementem w dziedzinie kinematografii. Realizacja filmu „Jak się wam podoba” pochłonęła milionowe sumy.

Oto co pisze „Sunday Express”:

— To było do przewidzenia. Tłumy, tłumy, tłumy. Na trzy godziny przed otwarciem kas policja zamknęła dojsie do Trafalgar Square, gdzie mieści się kinoteatr. Na premierę przybyli: królowa-matka, księżę Kentu oraz jego żona, księżniczka grecka, Maryna.

W honorowej loży zasiedli dyrektorzy wytwórni oraz Elżbieta Bergner i jej mąż, dr Czinner.

Premiera stała się wielkim świętem kultury i sztuki. Ten film, to korona twórczości artystycznej Elżbiety Bergner. Jej kreacji nie można ani nic dodać, ani ująć, można ją tylko w całości przyjąć lub w całości odrzucić.

Publiczność filmowa całego świata doskonale pamięta genialne kreacje i wstrząsające realizmem postacie, jakie dał widzom kinowym wielki tragik z Bożej łaski, Emil Jannigs.

Od tego czasu żadna wielka postać nie ukazała się na ekranie, żaden wielki dramat, taki, któryby wzruszył do łez.

Dopiero wytwórnia „20-th Century-Fox”, która doskonale wyczuwa intencje i życzenia najszerszego ogółu publiczności, znalazła wielkiego tragika filmowego, godnego następstwa po aktorze tej miary, co Emil Jannigs.

W potężnych halach Fox Movietone City, powstał wielki dramat, który wstrząsnął sumieniem ludzkości. Stworzono film na niezwykłą miarę, film, o którym mówi cały świat. Po premierze filmu „Sins of man” (Zapomniana symfonia) pierwsze stronicie wszystkich pism świata roily się od hymnów pochwalnych, wypisywanych przez co najtejszych krytyków fachowych pod adresem gry genialnego aktora, Jeana Herscholta. „Ten film, to wielki triumf życiowy wspaniałego aktora, to coś, co chwytą za serce. Jest to obraz, który raz widziany pozostanie nam na zawsze w pamięci.

Dramat serc i dramat duszy, piekło dzikich namiętności, które kazały ludziom zapomnieć o wszystkim. Całość ujęto w ramy najbarwniejszej opowieści, jaką kiedykolwiek otrzymała ludzkość”. Tak pisał „Hollywood Reporter”, największe pismo filmowe Ameryki.

Sztuka „Matura” była grana w bieżącym roku w Warszawie w Teatrze Kameralnym przez szereg miesięcy przy stale wypełnionej widowni. Odtwórczyni roli głównej w warszawskim przedstawieniu, Jadzia Andrzejevska, zdobyła sobie serca całej Warszawy.

W filmie uczennicę gra specjalnie wprowadzona z Francji Simone Simon. Publiczność polska zna to dziewczę, o wiotkiej postaci i czarującym uśmiechu, z filmu „Oczy czarne”. Po hollywoodskiej premierze Simone Simon z miejsca stanęła w rzędzie największych indywidualności aktorskich i nazwisko jej jest notowane na giełdzie sławy co najmniej tak wysoko, jak nazwisko Marleny Dietrich, czy Greta Garbo. Rolę profesora powierzył reżyser Irving Cummings fenomenalnie zdolnemu i ogólnie lubianemu aktorowi, którego każdy pamięta z takich filmów, jak „Czarny anioł”, „Złote sidła”, „Dobra wróżka” i ostatnio „Zapomniane twarze” Marschallowi, który też stworzył kreację, pozostającą głęboko w pamięci.

Trzy gwiazdy: Loretta Joung, Janette Gaynor, Constance Bennette.



ZE SZTUKI

Organizowana z inicjatywy niezjącego twórcy IPS'u prof. Skoczylasa periodyczna wystawa sztuki drzeworytniczej w tym roku po raz drugi zgromadziła artystów całego świata w murach Warszawy.

Pozwala to nam zorientować się w rozwoju tej sztuki za granicą, oraz miejscu i roli Polski w tej dziedzinie twórczości.

Sztuka graficzna rozkwitła bujnie za czasów renesansu. Drzeworyt wówczas, podobnie jak dziś artystyczna reprodukcja, odegrał rolę propagatora sztuki.

Na czele grafików renesansowych stoi niemiecki malarz i grafik, Albrecht Dürer, którego czterechsetlecie (1471 — 1528) przed kilku laty bardzo uroczyście obchodziły całe Niemcy.

Do najznakomitszych dzieł tego mistrza należy cykl męki Pańskiej, zwany zieloną pasją.

Wielką sławę zdobył też Polak, działający w Gdańsku, D. Chodowiecki, celujący w reprodukowaniu arcydzieł malarstwa.

Specjalną kartę w dziejach sztuki zapisała drzeworytnicy japońscy Karunobu (1718 — 1770), w barwnych planszach ilustrujący życie aktorów i linoskoków, dalej Kiyonago (1724 — 1815) i Utamaro (1753 — 1806), piewy pięknych kobiet. Wreszcie Hirosique (1797 — 1858), czarujący pejzazysta.

Sławę tej sztuki spopularyzowali w Europie bracia Goncourt, przyczyniając się w ten sposób do powstania nowego kierunku malarstwa, zwanego impresjonizmem.

U nas upodobanie dla japońszczyzny zaszczerpił słynny Manga-Jasiński, przekazując swe liczne zbiory kakemono i plansz japońskich swemu miastu rodzinnemu, Krakowowi.

Przechodząc od historii do bieżącej ekspozycji, trzeba przede wszystkim podkreślić wysoki poziom, na ogół wyrównany, techniki i tematyki.

Jedynie swoistością wyróżniają się drzeworyty polskie i japońskie.

Reszta wystawców prezentuje dorobek, który po przemieszczeniu można by bez szkody proporcjonalnie rozdzielić między poszczególne narody.

Miasto, atmosfera wykwinu współczesnej kultury i cywilizacji — oto tematy, a technika, wypracowana, pełna subtelnych niuansów i wyrafinowania.

Czasami więcej jest rozmachu i patetyzmu realistycznego, niż u Amerykanów, opiewających w „czarno-białych” plamach drapacze chmur. Przykładem służyć mogą dzieła Pawła Landacre'a. Czasem znów przeważa symbolika.

Pedantyczną indywidualność objawiają artyści niemieccy: Michel, Heilenman („Pejzaż księżycowy”), Tucholski i Weiss. Z artystów austriackich należy zapamiętać nazwiska: Koberl, Hans, Frank, Stritzner. Przedstawicielem Kanady jest Eric Bergman ze swą „Symfonią Beethovena” i „Rytmem”, pracami trochę literackimi, potrącającymi o symbolizm. Francuzi i Włosi są mistrzami technicznych subtelności i realizmu. Ludwika Józefa Soulasa portret Baudelaire'a oraz Ludwika Jon „Święto Trzech Króli”, to prace znakomite w technice.

A wreszcie z zagranicznych reprezentacji trzeba wspomnieć o Japonii.

Typowa to wirtuozeria, nawiązująca do starych tradycji w technice i tematyce. Barwność tych drzeworytów, upodobięcych je do malarstwa, nęci i bawi oko. Wymieńmy parę nazwisk: Shinsui Ito, autor ciekawej planszy „Kobieta upinająca włosy”, Kawase Hasui, prowadzący nas

przez „Most w śniegu”. Dalej Karamtsu Shiro z zabawną „Pogodą w deszcz” i prezentujący portret „aktora Sojuzo” Shunsen Natori.

Polscy drzeworytnicy znaleźli się tu, co najprzędniejszy: Cieslewski, Mroźewski, Gożyńska, Kuliszewicz i inni.

Reprezentują oni obok tej „wyrównanej” techniki europejskiej ciekawe i właśnie na tym tle odbijające swą oryginalnością odchylenia w kierunku prymitywu ludowego. Pod tym względem sztuka polska jest najbardziej swoista i samodzielna, najbardziej pociągająca swą egzotyka.

Doroczny salon zimowy w Zachęcie nie przyniósł żadnej specjalnej rewelacji.

Jedyną większą satysfakcją stwarza bodaj projekt witraży Bunscha, rzecz naprawdę monumentalna w pomysłach i najzupełniej dojrzała w technice. Bunsch zdobył przez to rangę artysty najwyższej klasy.

Ze starych mistrzów jest Weiss ze studium martwej natury, ożywionej postacią kobiecą. Za to, zwykle przez Weissa pre-

zentowany akt, tym razem dał nam już doskonały, choć niedawno wystawiający artysta krakowski Barbacki, którego nazwisko notowaliśmy z powodu znakomitego portretu JE. Ks. Arcybiskupa Teodorowicza. Poza tym dziesiątki nazwisk dobrze nam znanych twórców, dających do wspólnego kotła dorocznej reprezentacji po jednym lub dwu dziełach, portretach czy „landszafkach” — wulgo pejzazach.

A więc Lasocki, Nehring, Grabarz, Badowski, Trzebiński, Żukowski, Filipkiewicz etc. cki.

* * *

Leon Wyczółkowski.

Skromnie, niemal ubogo — odbył się w Warszawie pogrzeb jednego z największych artystów polskich, Leona Wyczółkowskiego.

Wyczółkowski zmarł w ośmdziesiątym czwartym roku życia, z czego na okres pracy artystycznej przypada lat z górą sześćdziesiąt parę.

Śp. Leon Wyczółkowski.



Leon Wyczółkowski był uczniem Matejki — a więc wyrósł i wychował się w atmosferze na wskroś narodowej, przepojonej tradycją wielkości Polski i jej misji dziejowej.

Jak wszyscy uczniowie Matejki, tak i Wyczółkowski — próbował swych sił na polu malarstwa historycznego. Z tego okresu zależności artysty od Matejki pochodzi „Maryna Mniszchówna”.

Urodzony rysownik, mistrz formy, operujący po ostatnie dni swego życia nigdy niezawodną ręką, kreślącą linie z wręcz nadludzką precyzją i pewnością, Wyczółkowski zdobył sobie europejską sławę przede wszystkim jako grafik. — Ale określenie — „światowej sławy grafik” nie wyczerpuje istoty twórczości Wyczółkowskiego, artysty w całym tego słowa znaczeniu — narodowego.

Doskonałość formy Wyczółkowskiego, jego „japońska” w swej ekspresji — linia, służyły zawsze do oddania głębokich emocji, które w artyście budziła przyroda polska, polska przeszłość i jej zabytki.

Z niezrównaną maestrią rysunkową odzwiercał czar sylwet gotyckich kościołów i mistyczny urok ich wnętrza, rysował królów i rycerzy śpiących na sarkofagach w mrocznych głębiach świątyń, nęciła go falista rytmiczna linia architektury starych domów i czcigodnych ruder, pociągał go las, puszcza i szerokie, bezkresne łąny pól polskich.

W pierwszych okresach swej twórczości, Wyczółkowski żył w świecie barwy. Zmagał się zwycięsko z trudnymi założeniami kolorystycznymi, umielał zwłaszcza efekty dogasającego słońca letniego. Ostre, pomarańczowe światło chylącego się ku zachodowi dnia i głębokie, sinofioletowe cienie wieczoru znamionują jego „Rybaka”, „Orkę” i „Widok z Wawelu”.

Przyroda tatrzańska skierowała artystę na inne drogi.

Posługując się farbą olejną, to pastela, odtwarzał ponure i groźne piękno skalistych turni i mroczne głębie lasów tatrzańskich.

Jakby dla wypoczynku, malował w tym czasie również kwiaty o przebogatej gamie barwnej i japońskiej precyzji rysunku.

W rysunkach, litografiach i pracach graficznych, Wyczółkowski wypowiadał się nie tylko z pomocą linii, ale i barwy. Lekkie, pozornie nie znaczące tony podnosiły wyrazistość linii i ekspresję całości.

Niezrównany był zwłaszcza w wydobyciu nastrojów zimowych. Pod jego rylcem i pędzlem, znane zakątki starych murów przedstawiały się w fantastyczny, baśniany świat.

Wyczółkowski żył i oddychał ziemią polską. Pociągało go jedynie to, co stanowi najistotniejszą, najbardziej rdzenną treść polskiego krajobrazu.

Umiłował przeszłość i jej nieśmiertelne piękno. Nie odtwarzał obrazów przeszłości, nie wskrzeszał wielkich wydarzeń dziejowych, jak to czynił mistrz jego — Matejko, ale w mrocznych głębiach kościołów, w obliczu strzelistych wież gotyckich i łamanej fali barokowych dachów pograżał się ekstazyjnie w to piękno nieskazitelne, które zostawiła nam przeszłość.

Życie Wyczółkowskiego to jedna bohaterska epopeja pracy, wysiłku i wewnętrzny tryumf, ustawicznego, zwycięskiego łamania trudności w drodze do doskonałości ostatecznej, mistrzowskiej.

M. Skrudlik

Z PIŚMIENICTWA

Za granicą.

Śmierć Pirandella. 10 grudnia w Rzymie, w swej willi Porta Pia, zmarł skutkiem kilkudniowego zapalenia płuc sławny dramaturg, powieściopisarz i nowelista włoski, laureat nagrody Nobla, Luigi Pirandello. Pozostawił on dwóch synów, z których jeden, Stefano Landi, jest znanym pisarzem, a drugi zdolnym malarzem.

Twórczość Pirandella obejmuje: 6 zbiorów poezji od r. 1889 do r. 1912, 7 powieści, (nieco długawych), 14 tomów nowel, 3 tomy dzieł krytycznych (o dialekcie Girgenti, *Arte e Scienza, Il Humorismo*), 8 jednoaktówek i wreszcie przeszło dwadzieścia długich sztuk, z których pierwsza wyszła w r. 1915, a wśród których Polscy najlepiej są znane *Henryk IV, Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora, Człowiek, bestia i cnota — L'Uomo, la bestia e la virtù*.

Luigi Pirandello urodził się w Agrigente na Sycylii w r. 1867. W r. 1889 wydał w Palermo pierwszą swą książkę: był to tomik poezji. Do teatru Pirandello zawitał bardzo późno, dopiero mając lat około pięćdziesięciu. Aż do owego czasu pisał poezje, powieści i nowele i pozyskał sławę jako humorysta.

Co skłoniło Pirandella, aby zaczął pisać sztuki teatralne — lepiej uchylić się od odpowiedzi. — Faktem jest, że zwrot ten był prawie jednocześnie z intymną tragedią rodzinną, którą wielki pisarz przeżył. W każdym razie Pirandello przyszedł do teatru w momencie, kiedy na początku obecnego stulecia intelekt hurzył wszelkie ustalone drogi, kiedy podniósł się ogólny bunt przeciwko łatwemu pozytywizmowi zeszłego wieku, a teoria względności zaczęła zabarwiać wszelkie zjawiska świata. Świecka filozofia nawróciła się oto do mistycyzmu, psychologia zstąpiła w podziemia podświadomości, matematyka zaprzęgnęła spróbować swych sił w płaszczyźnie czwartego wymiaru. — Wszystkie te nowe prądy i promienie Pirandello potrafił skupić w sobie, jak soczewka — a właśnie koniecznym warunkiem stworzenia wielkiej rzeczy jest przyjsięcie właściwego człowieka we właściwym momencie.

Znany krytyk, Palmer, charakteryzuje Pirandella w tych słowach:

„Z usposobienia odludek o oczach zazwyczaj przesłoniętych chmurą praeunającej myśli, posiadał on mimo to całą bujność i żywiość południowej Italii. Umysł jego należał do tych, które mogą poczynać w oderwaniu, ale nie mogą pozostać w dziedzinie abstrakcji... Był on jednym słowem poetą, obdarzającym natychmiast swe idee własną i konkretną niezależnością...”

Język Pirandella był zimny i dokładny, pozbawiony obrazów, prawie całkowicie ogołocony z metafor. Ale poza tą skamieniałą na pozór powłoką kryła się zimna a przemożna pasja twórcza.

Pirandello wywarł pokaźny wpływ na współczesny teatr francuski. Przypadło mu również w udziale być entuzjastycznie przyjętym przez snobizm międzynarodowy. Ale nigdy nie przypadło mu w udziale, aby sam jako człowiek został porwany, a tym bardziej zrozumiany. Jak to umiejętnie sformułowała Juliette Bernard, która widywała go niejednokrotnie — pośród najbardziej ożywionych zebrań — mimo prostoty i naturalnego sposobu bycia, które go wyróżniały, Pirandello zdawał się być zawsze otoczony kręgiem smutnej i tajemniczej samotności. Jeśli zaś mamy go naprawdę

odnaleźć, nie wystarczy zgłębiać jego sztuki teatralne, uznane ogólnie za „postepowe”, ani tym bardziej powieści, trzeba szukać Pirandella w jego nowelach, osądzonych z dala jako „staromodne”, bo w nich on się najbardziej bezpośrednio wypowiedział. Z nich zresztą większość sztuk została przez samego autora wyciągnięta.

Oprócz Pirandella zmarły w ostatnich czasach jeszcze dwie osoby, dobrze znane w świecie literackim: w grudniu p. Jessie Conrad, żona Józefa Conrada, autorka dwóch, niezbyt zresztą przyjemnych, książek o swym małżonku wielkim pisarzu angielskim — i na początku stycznia Miguel de Unamuno, niepospolity pisarz hiszpański, którego sylwetkę nakreślił w numerze listopadowym „Rodziny Polskiej”.

J. H. Rosny starszy, prezes Akademii Goncourtów (zwanej również Akademią Dziesięciu) otrzymał „pensję honorową” w sumie 36.000 franków. Podobno stanowi ona nową fundację i należy się spodziewać, że w przyszłości zawsze taka kwota będzie jakimś zasłużonemu autorowi francuskiemu przyznawana.

Jak wiadomo, w Anglii istnieje instytucja tzw. „Poety Laureata”. Słowa „poeta laureat” stanowią tytuł przywiązany do nazwiska, a przy tym poeta laureat otrzymuje stałą pensję z ramienia dworu. Rolą poety, nagrodzonego powyższą godnością, jest m. in. tworzenie poematów okolicznościowych, opiewających wszelkie ważniejsze wydarzenia związane z koroną angielską.

Obecnie władze, przygotowujące uroczystości koronacyjne, z niecierpliwością oczekują wiersza, który na uświetnienie koronacji króla Jerzego VI ma napisać poeta laureat, John Masefield. Do wiersza koronacyjnego zostanie dorobiona muzyka, poczem będzie on powtarzany przez orkiestrę i chóry. Nic dziwnego jednak, że John Masefield się spóźnia — nie znaczy to bynajmniej, że zbrakło mu natchnienia. — Okazuje się bowiem, że miał on już naszkicowany poemat na koronację Edwarda VIII, teraz zaś musi on zacząć całą pracę od początku.

Rainer Maria Rilke. Dziesiąta rocznica śmierci Rilkego, największego bodaj poety niemieckiego ostatniego ćwierćwiecza, głośnym odbiła się echem we Francji. Posyłały się książki:

J. M. Angelloz: *Rainer Maria Rilke, różwój duchowy poety*, i opatrzone komentarzami tłumaczenia *Elegii z Duino* (wyd. Paul Hartmann), *Princesse de la Tour et Taxis: Wspomnienia o R. M. Rilke*, Maurice Betz: *Rilke żyjący, wspomnienia, listy, rozmowy* (Emile-Paul ed.). (Maurice Betz jest również autorem licznych przekładów dzieł Rilkego). Wśród pism same *Nouvelles Littéraires* poświęciły Rilkemu przeszło półtorę strony. Edmund Jaloux czł. Akademii Francuskiej, który omawia tamże najlepszą, ze świeżo wydanych, pracę J. M. Angelloza, sam jest też autorem książki o Rilke.

Rilke urodził się w r. 1875 w Pradze Czeskiej, a na tych, którzy go znali osobście, zawsze wywierał wrażenie raczej Słowianina, niżli Niemca. Indywidualność Rilkego była niezwykła, do nikogo niepodobna, a życie pełne dziwnych kontrastów. Mimo, że odznaczał się on nadzwyczaj delikatnym zdrowiem i bardzo wrażliwą

naturą — jako jedenastoletni chłopiec odany został do bardzo surowej szkoły kadetów. — Później przez długie lata szarpał go tak charakterystyczny dla nowoczesnego człowieka niepokój, wyrażający się w bezustannej potrzebie wyodróżnienia. Niemcy, Francja, Włochy, Dania, Rosja, Austria, Szwajcaria — wszystkie te kraje przyniosły mu nowe doświadczenia. Po dwuletnim zaledwie pożyciu małżeńskim Rilke resztę życia spędził przeważnie w samotności. Kiedyś powiedział o sobie: „Byłem złym synem, złym mężem, złym ojcem, będę złym dziadkiem”. — Nie chodzi tu o żadne konkretne przewinienia. Po prostu przy swym słabym zdrowiu nie był on w stanie dźwigać jakichkolwiek obowiązków ani więzów rodzinnych, ponieważ czuł, że musi poświęcić wszystkie swe siły dla dokonania swego dzieła.

Książka J. M. Angelloza jest doskonałą biografią nie dlatego, że plastycznie opowiada historię życia R. M. Rilkego, korzystając z wszystkich dokumentów, zgromadzonych w Niemczech, i jasno tłumaczy jego filozofię liryczną, starając się wcielić śmierć do życia — ale dlatego przede wszystkim, że autor potrafił obdarzyć swą pracę niezwykle jednolitością, przedstawiając całe życie poety, zdążające do jednego celu: do rozkwitu jego ostatnich, najwspanialszych dzieł: *Elegii z Duino* i *Sonetów do Orfeusza*.

Tak żywe wspomnienia należy tłumaczyć nie tylko tym, że Rilke spędził wiele lat we Francji, ale także tym, że znalazł on tam najserdeczniejszych swych przyjaciół, jak Rodin, Cézanne, Gide, Valéry.

Sagarrà. Z powodu wojny, toczącej się na Półwyspie Pirenejskim bawi obecnie w Paryżu wielu pisarzy hiszpańskich, kastylijskich i katalońskich. Wśród nich znajduje się w pierwszym rzędzie młody jeszcze, bo zaledwie czterdziestoletni, największy żyjący poeta kataloński, Don José Maria de Sagarrà y Castellarnau de Ciscar y Montolin. — Pierwsza książka Sagarrà ukazała się w r. 1914 i była prawdziwą rewelacją — nareszcie wielki poeta, jakiego nie było od czasów Verdaguera i Guimery. Utwory Sagarrà mnożyły się w ogromnym tempie. *El mal cazador* (zły myśliwy), *Cançons d'Abrile i de novembre* (Piosnki kwietnowe i listopadowe), *Cançons de Rem y de Vela* (Piosnki o wiosle i o żaglu), *Cançons de Taverna i d'oblit* (Zapomnienia), *Cançons de totes les hores* (wszystkich godzin), *Poema de nadal* (poemat gwiazdkowy), *La Risa de Cristall*, *Ancoras i Estrelles* (Kotwice i gwiazdy)... Ale najważniejszym dziełem Sagarrà jest *El Comte Arnau*, wielki poemat epicki, liczący 10.000 wierszy, którego bohater jest jakby połączeniem Fausta z Don Juanem. Do wyliczonych utworów trzeba dodać czterdzieści sztuk teatralnych, przeważnie poematów dramatycznych i fars poetyckich, wystawionych w teatrze katalońskim (wiele z nich było przetłumaczonych na hiszpański i granych w Madrycie), oraz sporo powieści. Sagarrà obcy był zawsze polityce i choć głęboko cierpi nad obecnymi wydarzeniami, ma nadzieję, że burza ta przemienie. Sam zaś w dalszym ciągu nieustannie pracuje nad rozszerzeniem i wzbogaceniem dialektu katalońskiego, nad uczynieniem go językiem nowoczesnym i żywotnym.

Trzeba przyznać, że rodacy potrafili jego wysiłki ocenić i wręczyli mu wszystkie

wielkie nagrody w dziedzinie poezji, teatru i powieści.

Autobiografia Chestertona. Jest to ostatnia książka tak sympatycznego autora, która ukazała się dopiero teraz, po jego śmierci. Omawia ją obszernie R. A. Scott-James w gwiazdkowym numerze *The London Mercury*. Jest to bezsprzecznie jedna z najlepszych rzeczy Chestertona. Odnajdujemy w niej całą świeżość i pierwotną siłę jego przekonań i sympatii i jego świetny, młodzieńczy styl.

Chesterton wydawał się o wiele bardziej zdemodowanym od znacznie starszych od niego Shawa i Wellsa bodaj dlatego głównie, że miał on „dość odwagi, aby chwalić nie tylko przeszłość, ale w dodatku bliską przeszłość”. W porównaniu z Shawem można powiedzieć, że jeśli Shaw atakował zawsze, aby burzyć, to Chesterton zawsze kontratakował, aby bronić. Jedno mieli wspólne, to to, że obaj nienawidzili hipokryzji.

Jak widzimy z *Autobiografii*, Chesterton miał bardzo szczęśliwe wiktoriańskie dzieciństwo — może dlatego tak przywiązany był do wiktoriańskich ideałów?

Starł się on stworzyć filozofię praktyczną, pozbawioną sceptycyzmu i patriotyzmu, „poczynając się w miłości domowego ogniska, poczuciu humoru, przywiązaniu do przyjaciół i nienawiści zarozumiałości i pozy”. Właściwy okres blasku Chestertona, to lata 1900 — 1914 — nie można ich sobie wprost bez niego wyobrazić — „bez całej jego pełnej życia dobroci i wdzięku i natchnionej mądrości jego błazeństw”.

M. Buyno

W Polsce.

Laureat państwowy 1936. Nareszcie znalazło się w Polsce jury, które nagrodziło poete, od dawna zajmującego w poezji współczesnej miejsce czołowe, a mimo to zawzięcie niedostrzeżanego: oto w grudniu 1936 r. nagrodę państwową za najlepszy utwór w okresie ostatnich trzech lat otrzymał Kazimierz Wierzyński. Poezja Wierzyńskiego, daleka od sztukmistrzowskich łamańców nieczystego rasowo Juliana Tuwima, chwytła za serce, rozrzucając jej rozlewny patos; warta więc była nagrody. Zresztą Wierzyński wpiers się doczekał uznania za granicą, niż w kraju, gdyż już w r. 1928 na Olimpiadzie w Amsterdamie otrzymał złoty medal, który to sukces nigdy się potem nie powtórzył na olimpiadach następnych. Młodzieńcze tomiki Wierzyńskiego — to „Wróble na dachu”, „Wielka Niedźwiedzica”, „Wiosna i miłość”; następnie publikuje „Rozmowę z puszcza” i „Pieśni fanatyczne”, ostatnie wreszcie jego

dzieło poetyckie stanowi „Wolność tragiczna”. Jest również Wierzyński autorem tomu dobrej prozy, mianowicie zbioru nowel pt. „Granice świata”. Nagrodzenie Wierzyńskiego spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem wśród szerokich kół czytelnicy, zadowolonych w zupełności z tego zbyt może późnego, ale tym niemniej najzupełniej zasłużonego wyróżnienia. Wierzyński został przetłumaczony na kilka obcych języków, a obecnie prowadzi dział recenzji teatralnych w jednym z dzienników warszawskich. Spodziewać się należy, że w czasie najbliższym czterdziestoletni dopiero poeta, znajdujący się w pełni rozwoju swego wspaniałego talentu, obdarzy literaturę polską niejednym jeszcze arcydziełem, w którym przejdzie niezawodnie samego siebie.

Nowości wydawnicze. „Zakłete rewiry” Henryka Worcella są nowym debiutem powieściowym, który zaznaja czytelników z nowym środowiskiem: życiem kelnerów. Za ciekawą książkę i udany debiut (choć w gruncie rzeczy nie jest to debiut) uznane zostały przez krytykę trzy opowiadania Stanisława Brochwicza, objęte wspólnym tytułem: „Kobiety, które odeszły”. Doskonałą książką wojenną pisarza starszego pokolenia, godną obszerniejszego omówienia, jest „Pasierb Europy” Stanisława Strumf-Wojtkiewicza. Antoni Stonimski drukuje powieść satyryczną pt. „Dwa końce świata”. Jerzy Andrzejewski wydaje w najbliższych tygodniach nową powieść, która obejmować ma dwa tomy. Zofia Nałkowska przerobiła na scenę „Panią Borary” Gustawa Flauberta, a oprócz tego pracuje nad nową powieścią. Konstanty Ildefons Gałczyński wyda nareszcie tom swoich doskonałych satyr aktualnych. Dr Józef Birkenmajer zaczął druk nowej rozprawy pt. „Dyskusja o Bogurodzicy”, która będzie rekapitulacją osiągnięć prowadzonej przez niego polemiki na ten temat; rozprawa ukaże się także jako odbitka.

Z Rzymowskim cicho! W głośnej sprawie akademika Wincentego Rzymowskiego, oskarżonego o plagiat, wyrok zwołanego na jego prośbę sądu koleżeńkiego jeszcze nie zapadł. W kołach literackich, oburzonych przewlekaniem sprawy, na ogół spodziewany jest wyrok uniewinniający.

Jubileusz Marii Paruszewskiej. Znana poetka wielkopolska, Maria Paruszevska, 14 grudnia 1936 r. obchodziła czterdziestolecie pracy literackiej. Liczni jej przyjaciele i sympatycy uczelili jubileusz ten uroczystą akademią. Prasa poznańska poświęciła Paruszewskiej szereg wzmianek i artykułów. Poza tym zapowiedziane zostało wydanie specjalnej monografii, która ukaże się w postaci książkowej. W uroczystościach jubileuszowych Paruszewskiej brali udział czołowi przedstawiciele sfer katolickich i artystycznych Poznania.

Polska Akademia Literatury uzyskała nowy statut. Nowy statut Polskiej Akademii Literatury wejdzie w życie w ciągu rb. Najważniejszą zmianą w porównaniu ze statutem poprzednim jest szczególnie tego rodzaju, że Akademia zyskuje osobowość prawną, będzie więc mogła przyjmować darowizny i gromadzić majątek. Doniosłą także zmianą jest fakt, że liczba akademików zostaje powiększona do dwudziestu. Oparcie się o nowy statut powinno stać się zastrzykiem nowych sił, ażeby działalność Akademii nie dawała podstaw do takich złośliwych życzeń, jakie ostatnio na łamach „Gońca Warszawskiego” wyraził znany satyryk Babiniarz: „Nikt by chyba nie czuł najmniej zalu, gdyby z PAL'a nie został nawet pal na palu!”



PROSZKI
MIGRENO-NERVOSIN

Kogutek

ZASTOSOWANIE:
GRYPA, PRZEZIEBIENIE
BÓLE GŁOWY, ZĘBÓW itp.

ŻĄDAJC ORYGINALNYCH PROSZKI W FARB. L. KOGUTKIEM

PATRZCIE JAKIE PROSZKI WAM DAŁ
GOJY SA JUŻ NAŚLADOWNICTWA

ORYGINALNE PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” Z KOGUTKIEM

SA TYLKO JEDNE
I ZAWSZE Z BYSUNKIER KOGUTKA

PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” SA TEŻ I W TABLETKACH

O równe prawa kultury i sportu. Grono inteligencji katolickiej z paru ośrodków małomiasteczkowych pow. łukowskiego i pow. garwolińskiego na Podlasiu zamierza wszcząć akcję, mającą na celu uzyskanie równouprawnienia dla spraw kulturalnych na łamach „Małego Dziennika”. Wobec istnienia osobnej kolumny, poświęconej sportowi, gdzie się sumiennie rejestruje, ile razy kto komu puścił krew z nosa na meczu bokserskim, inicjatorzy domagają się mają wprowadzenia identycznej co do rozmiarów kolumny, na której byłyby omawiane sprawy kulturalne. Inicjatorom chodzi o to, ażeby najpopularniejszy dziennik katolicki nie propagował tylko najbrutalniejszych form życia współczesnego, ale żeby budził także wśród najszerszych mas katolickich zainteresowanie dla tych zjawisk, które na przyszłość kultury wywierają wpływ decydujący. Według informacji inicjatorów, w petycji, która będzie wysłana do osób decydujących o charakterze prasy katolickiej, wysunięte zostanie żądanie, ażeby jak najdokładniej informowano czytelników „Małego Dziennika” o współczesnych zdarzeniach kulturalnych, widzianych w świetle zasad katolickich. Petycja, która dla organów decydujących stanowić będzie mogła pierwszorzędny materiał orientacyjny, jako wykaz żądań czytelników, rozesłana będzie także do innych ośrodków w całej Polsce — dla uzyskania poparcia, względnie korektury niektórych punktów.

Polski współdział w obchodzie setnej rocznicy śmierci największego poety rosyjskiego. Chociaż Aleksander Puszkina nie za bardzo pięknie postąpił względem polskich poczyniń powstańczych w r. 1831, w setną rocznicę jego śmierci, która ma być święcona w końcu lutego rb., Polska weźmie czynny udział skłaniając głowę przed talentem geniusza rosyjskiego, mającego w sobie dużą przymieszkę krwi abisyńskiej. Do okazałej ilości przekładów z Puszkina na język polski dojdzie niezawodnie pokażniejsza jeszcze ilość przekładów nowych. Już w dniach najbliższych ukazać się zasobny wybór liryków Puszkiniowskich, przełożonych przez Juliana Tuwima. Tom ten nosić będzie tytuł: „Lutnia Puszkina”. Poza tym w Krakowie ukazać się ma księga prac naukowych, poświęconych Puszkiniowi, zredagowana przez znakomitego polskiego rusycystę, prof. Wacława Lednickiego. W Wilnie powstał przy współdziałaniu sędziwego prof. Mariana Dziedzichowskiego specjalny komitet obchodowy, w Warszawie podobny komitet stworzyli członkowie emigracyjnej kolonii rosyjskiej. Na uroczystości Puszkiniowskie w Rosji wyjechać ma podobno któryś z największych poetów polskich, być nawet może, członek Polskiej Akademii Literatury. Poetów w Akademii zasiada w chwili obecnej dwóch: Leopold Staff i Bolesław Leśmian. Ponieważ Staff jest tłumaczem poetów zachodnioeuropejskich, gdyby pogłoska odpowiadała prawdzie, do Rosji wyjechałby Leśmian, choć najodpowiedniejszym do tej misji byłby... Wincenty Rzymowski. Trzeba bowiem pamiętać, że ten znakomicie poszczęcony cudze artykuły publicysta w swojej młodości górnej a chmurnej był także poetą. Dobrze by było, gdyby nasi znakomici historycy literatury, np. prof. Julian Krzyżanowski, zajęli się wyszukaniem tych perełek. Gra byłaby warta świeczki!

„Mit a prawda o Sienkiewiczu”. Ciekawy artykuł pod takim tytułem ogłosiła na łamach „Kurier Literacko-Naukowy” Erwina Grotenówna. Nie ze wszystkimi te-

zami autorki można się zgodzić, za dużo jest w nich pochopności w uogólnianiu, jedno jednak spostrzeżenie warte jest przytoczenia. „Nie wolno zapominać o tym — pisze autorka — że „Trylogię”, „Quo vadis”, „Krzyżaków”, dzieła, przez które przepływa ożywczy nurt niezłomnej energii, techną przedziwnie sugestywnym, idealistycznym optymizmem i radosną afirmacją życia, stworzył człowiek o nadzwyczaj waltym, nieodpornym organizmie, nękany wciąż chorobami (wystarczy rzucić okiem na korespondencję z dr Bauertzem), zmagający się z swym przeważliwym systemem nerwowym. Jakżeż charakterystyczne zabarwienie uzyska w tym oświeceniu „Trylogia”, „Quo vadis”, „Krzyżacy”? Czyż promieniujący z nich kult siły i tężyny fizycznej nie wypływał z neurastenii Sienkiewicza, jako naturalna reakcja psychologiczna; czyż mocarnych bohaterów powieściowych, a przede wszystkim władcejsi postaci księcia Jeremiego, nie można uważać za realizację „snów o potęgę” neurastenika, artystyczne wyzycie się Sienkiewicza, marzącego jeszcze w dzieciństwie o sławie Napoleona?” Przykład Sienkiewicza świadczy jeszcze raz, że w słabych organizmach pali się nieraz wielki duch, który zdziałać może rzeczy większe aniżeli siła mięśni ludzi zdrowych. Obserwacja Grotenówny powinna stać się materiałem rzetelnych przymysłów dla tych ludzi, którzy zanadto hołdują mocnym pięściom — hołdują do tego stopnia, że chcieliby całe najmłodsze pokolenie w różnych Ośrodkach Wychowania Fizycznego wychować na płaskonosych i grubokórnych bokserów.

Uniłowski na drodze skandalów. Zbiżgniew Uniłowski wszedł do literatury ze skandalem. Jego pierwsza powieść, „Wspólny pokój”, została skonfiskowana za użycie ordynarnych wyrażań. Jego reportaż pt. „Dzień rekruta”, wydrukowany w „Wiadomościach Literackich”, spowodował protesty całej armii polskiej, w następstwie czego wojskowym zakazano czytać to pismo. Teraz ma Uniłowski w dorobku nowy skandal: jego najnowsza powieść pt. „Dwadzieścia lat życia” znowu została skonfiskowana za ordynarny i brutalny realizm. Niezwykłą rzeczywistą drogą zdobywa sobie rozgłos ten pisarz, nie liczący jeszcze trzydziestki. Mieć poza sobą trzy skandale w takim wieku — to smutna doprawdy sława! Najnieprzyjemniejszą w tym wszystkim rzeczą jest fakt, że fragmenty skonfiskowanej powieści były drukowane przedtem w akademickim piśmie „Dekada”, cieszącym się poparciem władz kierowniczych naszego życia akademickiego. Jest to nieprzyjemne przeoczenie, którego na przyszłość należy starannie unikać.

Z MUZYKI

Stanowczo zbyt mało interesujemy się muzyką religijną. Podczas gdy Poznań posiada jeden z najlepszych zespołów chóralnych i znakomitego dyrygenta w osobie księdza dra Gieburowskiego, stolica Rzeczypospolitej nie może się do chwili obecnej poszczycić niczym podobnym. Odeszli od nas wielcy muzycy kościelni jak śp. Mieczysław Surzyński (brat zasłużonego zbieracza polskiej twórczości polifonicznej ks. Józefa S.), surowy liturgista, prof. Henryk Makowski, odszedł z katedry doskonały mistrz organowy, prof. Br. Rutkowski, a krzewienie śpiewu gregoriańskiego przez ks. H. Nowackiego nie cieszy się już zainteresowaniem. Miejsce tych ludzi wybitnych i ich tworzywa muzycznego w du-

chu kościelnym zajęła szarzyzna i przeciętność.

Nie zapominajmy, że świątynia, skupiająca w sobie codziennie, a szczególnie w dnie świąteczne, kilka tysięcy wiernych, to jeden z najważniejszych ośrodków krzewienia kultury muzycznej w całym kraju. Tłum ten bowiem, będący stałym bywalcem swojego kościoła, podatny do przyjmowania wrażeń, bo skupiony i nastrojony podniosło, to przecież i z muzycznego punktu widzenia — społeczeństwo wysoce wartościowe.

Wiemy dobrze, że muzyka kościelna łączy się integralnie z czynnikiem liturgicznym, a chociaż, według kanonów, nie stanowi ona niezbędnego współczynnika ważności nabożeństwa, musi się stać jego tłem i ozdobą. Każda religia stwarza swoisty typ nabożeństwa. Najbardziej może pierwotnym jest chóralny śpiew cerkwi prawosławnej.

Dość wstuchać się w piękno brzmienia chórów cerkiewnych „à capella”, aby zrozumieć, że brak organów nie tylko nie powoduje skutków ujemnych, lecz przeciwnie — usamodzielnia lud, umuzykalniając go. Natomiast protestantyzm ze swoim rytmicznie skandowanym chorałem, na pozor zimnym i bezduśnym, sprawia jednak wrażenie ładu i systematyczności, co potęguje jeszcze używanie jednakowych śpiewników „notowych”.

Ślady tych chorałów znaleźć można i w wielu naszych, katolickich pieśniach, chociażby w pieśniach wielkanocnych i procesyjnych. Badając stan muzyki kościelnej w wielu ośrodkach Rzeczypospolitej, wynoszę wrażenie, że zwłaszcza w b. Kongresowej poziom jej i jakości wykonania pozostawiają dziś jeszcze dużo do życzenia.

Kwalifikacje organistów naszych, zwłaszcza na prowincji, są jeszcze niedostateczne. Być może, że na rezultaty ich pracy składa się również rozpiętość obowiązków organistowskich, no i, powiedzmy to otwarcie, nasza niezbyt wielka muzykalność. Jeśli się widzi analogiczną pracę organistów Litwy, Łotwy, lub Estonii, gdzie dzierżą oni w rękę ster kultury muzycznej na prowincji, trzeba się często wstydzić, że u nas jest inaczej. A repertuar „kościelny”, jaki mi się tyle razy daje słyszeć w naszych Wólkach czy Wólach podmiejskich? Arie z oper, trawestowane „żywce” na organy, pieśni świeckie na chórze i tyle innych zdarzeń aliturgicznych — to mówi samo za siebie. Zdarzało się to również i w stolicy, chociaż rzadziej. Ale... de mortuis aut nihil aut bene... Za to na terenie dawnej katedry, jakże piękną muzykę niósł niezapomniany Mieczysław Surzyński. Kilka miesięcy temu obchodziliśmy piękny i zasłużony jubileusz pracy na terenie muzyki kościelnej *Józefa Furmanika*.

Zarówno na terenie pracy pedagogicznej, jak chóralnej, w szkolnictwie średnim czy przy organach, był zasłużony nasz Jubilat i jest dotąd wzorem sumiennej i celowej pracy. Jego „jutrznie” na uroczystości Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, oparte na głębokim znawstwie motywów polskiej muzyki ludowej, stały się od lat szereg ozdób dorocznych nabożeństw. Józef Furmanik nadto, dzięki swojemu talentowi i znakomitej technice gry (zwłaszcza w utworach J. S. Bacha) sprawił, że na odcinku, reprezentowanym przez Kościół Św. Aleksandra w Warszawie, muzyka kościelna stanęła na bardzo wysokim poziomie, co więcej, zaczęła ona przyciągać do świątyni nawet tych, którzy traktowali nabożeństwo jako zadowolenie wyłącznie estetyczne. Jubilat zrozumiał, że kilka tysięcy słu-

chaczów — wiernych, zapelniających w dniu niedzielnym kościół, to naturalny rozsądek kultury muzycznej. Toteż jubileusz profesora Furmanika stał się wyrazem żywej wdzięczności i uznania ze strony władz kościelnych, zarówno jak warstw najszerszych, od lat przeszło trzydziestu, obciążających z wielką sztuką jego na odcinku wspomnianej parafii.

Muzyka religijna, zarówno katolicka, jak protestancka, to czynnik ważki, z którym się należy u nas bardziej liczyć, jak dotąd. Słusznie też sformułował tę myśl profesor Rutkowski, omawiając zasługi jubilata Furmanika, że „jakim jest poziom muzyki w kościele, takim zazwyczaj jest stan umysłowości w danym kraju”.

Od muzyki ściśle religijnej nie trzeba iść daleko, aby się znaleźć w epoce wielkich klasyków. Jest to epoka ściśle związana z prototypem obecnego fortepianu — z klawierym. Instrument ten, dziś stanowiący niemal zabytek muzealny, był jednak powiernikiem myśli największych spośród klasyków, zaczynając od rodziny Jana Sebastiana Bacha. Jego osobliwy dźwięk, przypominający harfę, dwa manuały, będące analogią do organów, zastępujące dzisiejszy lewy pedał — oto osobliwości klawesynu.

Wiedzano o nim dawno, ale dopiero Wanda Landowska kazała ożyć temu instrumentowi. Ona to wzbudziła, co cenniejsze, żywe zainteresowanie dla klawesynu i wypłynęła na firmę Pleyela, aby zaczęła wytwarzać te instrumenty. Po ośmiu czy dziewięciu latach odwiedziła Landowska Polskę, dając się słyszeć w jednym z grudniowych koncertów symfonicznych w Filharmonii. Koncert włoski Bacha, będący głównym punktem zainteresowania, wypadł wręcz niebywale. Jak cudnie brzmia pod palcami Landowskiej przepyszne tryle, mordenty i przeróżne ozdobniki bachowskie, którymi najeżona jest partytura koncertu. Jak „orkiestralnie” brzmiała słynne rondo Mozarta — alla Turca, niczym wielka janczarska kapela. A efekty dźwiękowe w „Kukułce” Daquina — wręcz niesposób poddać ocenie całego programu i nadprogramu Landowskiej.

Jedno atoli zastrzeżenie. O ile klawesyn jest nieodróżniony dla ilustracji muzyki klasycznej, o tyle próby używania go w twórczości nowoczesnej uważam za chybione. Utwór Poulenca wykonany pod batutą Henri Pensisa w części pierwszej koncertu nie pozostawił głębszego wrażenia. Zostawmy więc klawesyn, tak jak ludzi — na właściwym miejscu i na ich epoki. Po koncercie Landowskiej, który był punktem centralnym bieżącego okresu sprawozdawczego, słyszeliśmy szereg wybitnych solistów na estradach naszej Filharmonii, Konserwatorium i od niedawna wchodzącej w modę wielkiej auli Kina „Roma”. Dawno już nie słyszałem tak stylowo zagranych koncertu skrzypcowego Brahmsa. Grał go jeden z największych skrzypków niemieckich, Busch. Gra jego jest na wskroś oryginalna, zbliżona do refleksyjnego Hubermana, mniej jednak błyskotliwa. Busch ma na celu (to się czuje) przede wszystkim oddanie treści kompozycji, intencji najskrytszych kompozytora. Technika (kadenca) są dla niego zabawką, toteż nie poświęca im dłuższej uwagi i nie wysuwa, jak inni, na plan pierwszy. Wręcz odmienną indywidualnością jest w dziedzinie fortepianu Schura Czerkaski, którego udało mi się słyszeć uprzednio przez mikrofon. Tym razem zagrał koncert b-moll Czajkowskiego, będący szczytem wrażeń dla pianistów o „szerokim oddechu” i wielkim

temperamencie. Od pierwszych, potężnych akordów, narzuconych wraz z tempem orkiestry, czuło się, że pianista wie, czego chce. Nie tyle zagłębiając się na wzór Buscha w intencje kompozytora, szedł poprzez cudne, romantyczne „andante” ku zwycięstwu. Czerkaski fascynuje nie tylko świetną techniką, ale przede wszystkim swoim wybuchowym temperamentem i potęgą tonu. Współsolistą omawianego koncertu był Walerian Bierdiajew, dyrygent równie impulsywny, doskonale obeznany z duchem muzyki rosyjskiej. Zwłaszcza Czajkowski pod batutą Bierdiajewa ukazuje się w pełnym świetle swojej pięknej, bogato brzmiącej orkiestracji. Tak było i tym razem.

Zupełnie odmienną indywidualność okazuje, jako dyrygent, Tadeusz Mazurkiewicz. Miałem sposobność obserwowania go wielokrotnie przy pulpicie w naszej Filharmonii, jeszcze zaś częściej czytać o jego wielkich sukcesach za granicą, w Wiedniu, Pradze Cz. i Skandynawii. Poranek przedświąteczny, poświęcony muzyce francuskiej, przypominał mi najświetniejsze czasy Mazurkiewicza. Tak zadyrygowanej „Fedry”, a zwłaszcza błyskotliwego Scherza Dukasa „Uczeń czarnoksiężnika” nie słyszy się zbyt często. W przeciwstawieniu do Bierdiajewa dyrekcja Mazurkiewicza jest wytworna, żywo przypominająca mi Weingartnera i Maksa v. Schillingsa. Ruchy celowe, ale spokojne, jakaś dostojność w każdym geście. Sukces Mazurkiewicza, którego miejsce na koncertach symfonicznych, był wielki, ale stwierdzić było można, że jest on za... wytworny na stosunki warszawskie, gdzie o sukcesie decydują albo mocne „łokcie”, albo szerokie plecy...

Przy dyskretnym, czujnym akompaniamentem Mazurkiewicza wykonała młoda bułgarska pianistka, p. Teofana Daneua, parę rzadko u nas grywalnych utworów na fortepian z orkiestrą, zwłaszcza wysoce interesujące „Les Gjin” Cezara Francka. Za to znany koncert wiolonczelowy Saint-Saënsa (w wykonaniu p. Sienkiewicza) nie porwał nas, choć melodie jego kazały wspominać Földesy'ego i Casals. No i — Wierzbilowicza, którego aksamitny, wielki ton, my starsi, mamy jeszcze w pamięci.

Podczas kiedy koncerty filharmoniczne zajmują u nas zaledwie dwa miejsca w tygodniu, radio „brzęczy”, jak je określił marszałek Piłsudski, od rana do nocy. Jest więc w tym stumetrowym programie czego szukać, a wliczając stacje zagraniczne — jest muzyka na... zawołanie. Dość nacisnąć właściwy guziczek, czy przesuwać podziałkę, aby była Praga, Berlin, czy — Budapest. Każda z tych przypadkowo zgrupowanych rozgłośni ma swoje oblicze.

Czechosłowacja daje nam nieodróżnioną muzykę koncertową. Niemcy — wielkie dzieła symfoniczne i najlepszych instrumentalistów, Węgry — swój sentymentalny i ognisty zarazem folklor muzyki cygańskiej. Za to jeśli systematycznie studiować nasze programy, widzi się, że Polskie Radio propaguje od paru lat, jeśli nie muzykę żydowską, to legion żydowskich wykonawców. Nie będę wymieniał nazwisk. Nie chcę bowiem, aby sądzono, że nie uznaję wybitnych żydowskich skrzypków czy pianetek. Skoro się jednak czyta o niedoli materialnej wielu spośród polskich wybitnych instrumentalistów, patrząc na estradę „Romy”, gdzie produkuje się co pewien czas orkiestra Polskiego Radia, słysząc doskonałych pianistów i śpiewaków, zarażających po kawiarniach, a jednocześnie widzi w „Antenie” stałe grono muzyków żydowskich, występujące przed mikrofonem stolicy, stwierdza się nie tylko wysoką

niewłaściwość, ale krzywdę, jaka się dzieje naszym artystom w samym sercu Rzeczypospolitej. Mało tego — śnać soliści żydowscy nie mieszczą się już w ramach programu lokalnego. Wiemy dokładnie, że niektórzy z nich wysyłani są przez Radio za granicę, aby w drodze wymiany artystycznej — risum teneatis — reprezentowali tam muzykę polską. O tym, co piszę, milczeć nie wolno, gdyż tego rodzaju „posunięcia” programowe spotykają się ze zdziwieniem za granicą. Pisałem niezbyt dawno w „Echu Społecznym”, że występy przed mikrofonem polskim dla uznanych artystów polskich nie są ani grzesznością, ani jałmużną kierowników muzycznych, których jest zbyt wielu. Są one — obojętnością Polskiego Radia, zważywszy, że przy całym znaczeniu popularyzacyjnym mikrofonu, całodzienny jego program zwolna, ale widocznie, osłabia żywotność koncertów publicznych, a więc godzi w artystów. O tym nam, a zwłaszcza, komu należy i komu zależy na rzetelnej propagandzie muzyki i na — polskości Polskiego Radia wiedzieć potrzeba. Mniej za to rozgłosu udzielać się winno zwolna rosnącej cyfrze abonentów, gdyż np. w malutkiej Danii (co sam stwierdziłem) cyfra radiosłuchaczy wynosi tyleż, ile w mocarstwowej Polsce. Zapewne, chodzi tylko o liczbę zer. Dlaczego jednak figurują one tak licznie w naszym życiu muzycznym i co gorsze, na stanowiskach kierowniczych? Dlaczego usuwa się w cień takie nazwiska kompozytorów, jak Feliks Nowowiejski, Al. Wielhorski, a nawet Wiłkomirski (onże świetny wiolonczelista i dyrygent), takich dyrygentów, jak Mazurkiewicz i Dołżycki (miejsce których w Filharmonii i w Radio) i tylu, tylu innych, których wypierają z żydowskim tupetem „steiny”, „bergi” i cały przebogaty jazz palestyński. Pożniej rozdziera się tragicznie szaty, że muzyka polska nie ma swojego oblicza, że nie posiada cech narodowych. Roni się łyż na grobie takich męczenników stosunków muzycznych, jak śp. Lucjan Marczewski, którego wielki talent zmarnowali ci, którzy systematycznie zażywiają nasze trybuny muzyczne...

Jeszcze jeden przykład. Tym razem z życia naszej opery. Rozumiem dobrze, że warunki materialne układają się dlań wręcz niekorzystnie. Ze kierownictwu potrzeba nie tyle słów zachęty, ile stałego, wydatnego subsydium, aby pierwsza scena operowa w Polsce sprostać mogła zadaniom, dla których ją wzniesiono. Incydent pozornie drobny z odwołaniem „Manon”, w którym wziąć udział mieli zaproszeni artyści z paryskiej Opery Komicznej, jest dla mnie bardzo znamienity. Nie dowierzamy własnym artystom, potrzebne nam są na afiszu zagraniczne nazwiska, gdyż to daje frekwencję. Dlaczego jednak mierne siły francuskie mają zajmować miejsce naszym śpiewakom? Cemu opery polskich kompozytorów nie stanowią osi zainteresowania publiczności, jak łotewskie w Rydze lub czeskie w Pradze, Brnie lub — Bratysławie? Dwie sceny operowe w Polsce, to taka sama anomalia jak 600 tysięcy radioabonentów na 33 miliony ludności. Stworzyliśmy naszym, polskim artystom warunki, aby mogli już u siebie w kraju osiągnąć szczyty. Wreszcie wyzbądźmy się wygodnego kwietyzmu, z jakim traktujemy zagadnienia muzyczne, tak zasadnicze, jak te, które poruszyłem. Inaczej zginie nie tylko „oblicze narodowe” naszej muzyki, ale i ona sama. Stwierdzenie tego smutnego stanu rzeczy uważam za ważniejsze od recenzji.

Wł. B.

Z. TOPIŃSKA

BAJKI O ZŁEJ MACOSZE

Godnym zastanowienia się jest istnienie wielkiej ilości bajek, fantastycznych powiastek, wierszy, piosenek, w których zawsze niedodatnią, znenawidzoną wprost postacią jest macocha. Mało kto zastanawia się nad ich szkodliwością, a przecież należałoby postawić zapytanie, czy słusznym i sprawiedliwym jest taki masowy objaw niechęci, złych uczuć, żalu i uprzedzeń, jakimi jest otoczony już samo pojęcie drugiej żony ojca.

Czy ma ona być bezsprzecznie istotą złą? czy raczej nie zasługuje ona niejednokrotnie na wielki szacunek i uznanie? Mimo woli nasuwa się myśl, co jest tej ogólnej psychozy przyczyną?

Bywają matki i ojcowie, którzy opuszczają własne dzieci, wychowują je przez zbytne pobłażanie lub za wielką surowość źle, krzywdzą w przeróżny sposób, a jednak literatura przeznaczona dla rodzin słusznie o nich milczy i dobra tradycja do ksiąg swych tych wydarzeń nie zapisuje. Literatura dla młodzieży zajmuje się złą córką, krnąbrnym synem, historią jakiegoś niedobrego chłopca, fecz na szczęście smutne i niedobre powikłania w rodzinach z winy rodziców literatura wychowawcza przemilcza. Jakżeż więc skądinąd również niewskazane i niesprawiedliwe w swym założeniu są powiastki, które opiewają fantastyczne krzywdy, jakoby czynione przez „macochę”.

Przez całe szeregi pokoleń wprowadzały te bajki i powiastki do życia rodzin sugestywnie narzucone przekonanie, iż macocha może być tylko złą, istotą nieznośną, niepotrzebną, intruzem w rodzinie.

Przeważnie z takim uprzedzeniem witana bywa ona w domu męża, z którym zdecydowała się dzielić trudy życia, zdając sobie w pełni sprawę, iż bierze na siebie wielki ciężar wychowania i współżycia z dziećmi z pierwszego małżeństwa. Zdarza się często, że jakaś sąsiadka niekoniecznie domowi życzliwa, niepoczeiwa służąca lub tymczasowa opiekunka zaszczepi w duszę dzieci żal do ojca, że się wogóle ożenił.

Zajrzyjmy do przeciętnego domu rodzinnego, w którym jest ojciec, matka i dzieci. Ileż trudności, przykrości, zawodów i przeróżnych niespodzianek sprawia im wychowanie własnych dzieci. Przychodzi wielkie nieszczęście dla rodziny — śmierć matki. Małymi dziećmi zajmie się na razie ktoś z rodziny lub też przygodna opiekunka. Ojciec nie tylko ma wszelkie prawo, ale powinien, ze względu na normalne życie, ożenić się.

Oczywiście, nie będzie on nigdy dość ostrożnym i doskonałym w powtórnym swym wyborze. Żeniąc się po raz pierwszy, brał żonę dla siebie i matkę wspólnych przyszłych dzieci, żeniąc się po raz drugi, wybiera nie tylko już towarzyszkę swego życia, ale i wychowawczynię, która stać się ma równocześnie najoddańszą przyjaciółką sierot, dzieci człowieka, którego pokochała. I tutaj jakżeż często zachodzi splątanie się uczuć: są dzieci człowieka, którego ona kocha, ale są to dzieci jego z inną kobietą... Jeżeli druga żona stanie na tym punkcie patrzenia i tak się ustosunkuje do sierot, jeżeli tego rodzaju instynkt nie ustąpi miejsca naprawdę serdecznej miłości rodzinnej, należałoby lepiej nie wejść do domu, w którym członkowie będą się uważać za istoty niepotrzebne, wzajemnie się drażniące. Są to refleksje, bez których wstąpienie w związki małżeńskie z wdowcem, jest niemożliwością.

Zmarła matka powinna być przez drugą żonę ojca stawiana jako wzór ideału. Nie ujmuje to bynajmniej wartości „macochy” i kult ten, rozwijany w umyśle dziecka, może jej dać niesłychaną pomoc w wychowaniu.

Czczenie pamięci matki i pierwszej żony umocni raczej autorytet i poszanowanie drugiej żony ojca, wzmocni przyjaźń i więź pomiędzy nią a pasierbami. Słyszałam o wypadku, gdzie macocha w dniu imienin swej pasierbicy ofiarowała jej śliczną ramkę z fo-

tografią matki. Czyż mógł być kiedykolwiek podarek subtelniej wybrany?

Takież same odnoszenie się do pierwszej żony w stosunku do męża daje gwarancję, że będzie i ona zawsze otoczona jego szacunkiem i miłością. Kult samej siebie i zazdrość o osobę nieżyjącą nie podniesie jej w nieczyich oczach, nie ukryje się bowiem tych uczuć, o ile wewnątrz nie wyrobi się panowania nad nimi i nie wyrozumuje ich. Uczucia zazdrości ujawnione na twarzy i w całym postępowaniu, wartości drugiej żony nie dodadzą.

Zapewne, ciężkim i nieraz bardzo trudnym jest zadanie macochy. Z tym większym więc wyrobieniem wewnętrznym, z całkowitym opanowaniem, z wniósłym nieledwie nastawieniem się może kobieta w takie związki małżeńskie wstąpić. Cóż ją bowiem czeka? Przede wszystkim nieufność dzieci młodszych, trudy wychowania, krytyka dzieci starszych, łagodzenie między dziećmi a ojcem nieporozumień, które wyniknąć mogą w najprzykładniejszej nawet rodzinie.

Narzeczeństwo z wdowcem, to okres zapoznania się nie tylko z nim, ale także i z jego dziećmi, czas wypróbowania siebie, czy te istoty będą mogły stać się na tyle drogie i miłe, aby można było z nimi współżyć, pokochać je i dobrze wychować. Trzeba poznać ich wady, zalety, przygotować się samemu duchowo do tych niezmiernie poważnych obowiązków.

Gdy się już kobieta nastawi myślowo w ten sposób i zdecyduje na małżeństwo z wdowcem, w konsekwencji należy stworzyć rodzinę o wysokim poziomie, bynajmniej nie starając się usunąć z serca męża i dzieci pamięci pierwszej żony i matki.

Jest także pewien drażliwy moment, gdy dzieci, zwłaszcza starsze, z własnego uczucia, a młodsze, namówione przez nieżyczliwych rodzinie ludzi, zawahają się ze słowem: „matko”, zwróconym do drugiej żony ojca. Kto wie, czy w wielu wypadkach nie jest to najpierwszym powodem do nieporozumień, wzajemnych goryczy i żalów. Wyraz ten powinien być raz na zawsze usunięty ze słownika rodzinnego w stosunku do drugiej żony ojca.

O ile nazwa ta jest narzucona, nie będzie ona nigdy łącznikiem, raczej rozterką i bardzo komplikuje pożycie. Matka jest jedna i nazwa ta nie może być zastosowana do kogo innego przymusowo, nie z własnej woli, sympatii lub uczucia. Może być użyta tylko do własnej matki, najukochańszej po Bogu istocie. Druga żona ojca nie jest matką, może być najlepszą opiekunką, bardzo kochaną wychowawczynią, najżyczliwszą przyjaciółką, szanowaną żoną ojca, ale jej się to święte imię nie należy... Zastąpienie nazwy tej imieniem ciotki ułatwia bardzo pożycie i od razu stawia je na właściwym poziomie, nie uwłaczającym bynajmniej żonie ojca, raczej podnoszącym jej stanowisko. Jest jak gdyby zaznaczeniem, iż druga żona ojca nie zastępuje nikogo, lecz jest na swoim od Boga jej przeznaczonym miejscu.

Tak samo pierwsze jak drugie małżeństwo jest Sakramentem, tak samo szczytne, nawet szczytniejsze nakłada obowiązki. Sama natura dobrej kobiety skłania się ku temu, aby być opiekunką istot potrzebujących pomocy, starań i wychowania. Tak samo macocha jak i matka jest służebnicą Pańską. Dzieci drugiej żony są rodzeństwem dzieci pierwszej. Różnice czynione przez macochę pomiędzy jednymi a drugimi są złym systemem wychowawczym. Zapewne, iż skłonność czysto przyrodzona, skłaniająca kobietę do większego przywiązania do dzieci własnych, niż pasierbów, jest bardzo silną. Jest to instynkt znany w całej przyrodzie u wszystkich stworzeń. Kobieta-człowiek, której dusza złożona jest z takich czynników, jak rozum i serce, ma pole do wykazania wiele delikatnych uczuć, które ułatwią zgodne pożycie i przeciągną trwanie rozbitej przez śmierć matki rodziny. Skłonność i instynktowa słabość do własnych dzieci da możliwość ćwiczenia własnej woli i charakteru.

DLA MATEK I WYCHOWAWCZYŃ

Działanie słońca na ustrój ludzki.

Odróżniamy dwa rodzaje promieni słonecznych: widzialne i niewidzialne. Promienie widzialne w normalnych warunkach nie są szkodliwe. Promienie niewidzialne dzielą się na dwie grupy: ciepłe, czyli podczerwone i chemiczne, czyli pozafioletkowe. Niedostatek lub nadmiar promieni ciepłych jest zawsze szkodliwy — (mrozy i upały).

Promienie chemiczne działają drażniąco na organizm za pośrednictwem skóry.

Te promienie, w miarę stosowane, dają zdrową opaleniznę, ich nadmiar powoduje u osób nieprzyzwyczajonych oparzenia skóry, niedostatek — przyczynia się do rozwoju krzywicy u dzieci.

O działaniu słońca na ustrój dziecka.

Najlepszym środkiem na „wzmocnienie” jest niewątpliwie słońce.

Dzieci krzywice, anemiczne, skłonne do kataru i przeziębień znakomicie się poprawiają pod wpływem promieni słonecznych. Skóra początkowo blada nabiera odcieni brunatnych, staje się mniej wrażliwa na działanie zimna i lepiej chroni organizm od szkodliwych wpływów zewnętrznych. Dzieci o skórze brązowej, mocno opalonej są bardziej odporne na choroby zakaźne.

Skutki braku słońca.

Kiedy promieni słonecznych jest za mało, wszystkie istoty żywe nie otrzymują dostatecznej ilości bodźców do życia, wskutek czego ich czynności życiowe powoli zanikają. Np. w naszym klimacie niemal cały świat zwierzęcy i roślinny zapada w sen zimowy. Tylko dzięki zdobyciom cywilizacji i kultury człowiek potrafi przetrwać ten okres bez większej szkody dla zdrowia.

Musimy niestety przyznać, że dzieci bardzo źle znoszą okres zimowy, gorzej się rozwijają i częściej w tym czasie chorują.

Niedostatek promieni słonecznych odbija się na dzieciach w sposób aż nadto widoczny!

Brak słońca źródłem chorób dziecięcych.

Dzieci gorzej znoszą wszelkie braki niż osobnik dorosły. Toteż brak dostatecznej ilości promieni słonecznych wyrządza dziecku dotkliwą szkodę. Ta szkoda jest tym większa, im dziecko jest młodsze, tj. im prędzej rośnie. Dlatego niemowlęta najwięcej cierpią z tego powodu.

Rozwój czynności życiowych u dzieci wskutek braku słońca zostaje zahamowany. Wzrost ulega

poważnym zaburzeniom. Powoli zmienia się wygląd i charakter dziecka: staje się ono blade, rozdrażnione często płacze, źle sypia, traci apetyt, niekiedy występują drgania gałek ocznych, a nawet konwulsje.

Jak używać słońca latem.

Promienie słoneczne są cudownym lekiem dla wycieńczonych i bladych mieszkańców miasta. Jednak należy pamiętać, że jak każde lekarstwo, tak i słońce, używane nadmiernie, może zaszkodzić powodując przegrzanie a nawet udar słoneczny.

Skóra zbyt długo wystawiona na działanie promieni słońca latem, jeżeli nie jest przyzwyczajona, ulega zapaleniu, czyli oparzeniu, które jest szkodliwe, a czasem nawet niebezpieczne dla życia dziecka.

Tylko umiarkowane używanie słońca i stopniowe przyzwyczajanie jest dla organizmu pożyteczne.

Jak opalać dziecko na słońcu.

Chcąc małe dziecko opalać na słońcu należy to robić stopniowo i bardzo ostrożnie. Im bardziej skóra jest blada, tym ostrożniej należy wystawiać na działanie słońca. Przy tym podczas naświetlania dziecka nie potrzebuje koniecznie leżeć, również dobrze może ono opalać się będąc w ruchu. Naświetlanie powinno trwać:

w pierwszym dniu 2—3 minut

w drugim 3—5 " "

w trzecim 5—8 " itd.

dosłownie dodając codziennie po 3 minuty osiągamy po 10 dniach 30 minut. Dla niemowląt dłużej niż 30 minut naświetlanie trwać nie powinno. Dzieci starsze, które dobrze się opaliły, mogą później i dłużej przebywać na słońcu w majteczkach kąpielowych.

Kiedy należy dziecku stosować kąpiele słoneczne.

Nie wszystkie dzieci jednakowo znoszą kąpiele słoneczne. Zależy to przede wszystkim od barwy skóry — im jest jaśniejsza (bielsza) tym jest wrażliwsza na działanie promieni słonecznych.

Noworodki i dzieci nerwowe źle znoszą naświetlania słoneczne i u tych lepiej kąpiele słonecznych nie stosować.

Dzieci chore, w pierwszym rzędzie gorączkujące, z katarą nosa, a także chore na gruźlicę nie powinny być naświetlane.

Dr med. Z. Lamentowski.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Kto ma czyste sumienie, ten rad ze wszystkiego i łatwo spokojnym będzie.

Nie jesteś świętszym dlatego, że cię chwalą, ani też lichszym dlatego, że cię ganią.

Czym jesteś, tym jesteś: a to co powiedzą o tobie, nie odmieni tego, czym jesteś przed obliczem Boga.

Jeśli bowiem zważasz na to, czym jesteś wewnątrz u siebie, nie będziesz dbał o to, co ludzie mówią o tobie.

Człowiek twarz widzi, a Bóg patrzy na serce. Człowiek sądzi podług uczynku, a Bóg chęci zważa.

Zawsze dobrze czynić, a skromnie trzymać o sobie, jest to znamię pokornej duszy. Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

ZE ZWIĄZKU PAŃ DOMU

Styczniowe zebranie członkiń Oddziału Warszawskiego Związku Pań Domu poprzedzone zostało uroczystością wręczenia dyplomu i brązowej odznaki pracownicy domowej Woźniakównie, za 10-letnią pracę wzorową w jednej rodzinie. Przewodnicząca Oddziału Warszawskiego, p. H. Lutostańska, w serdecznym przemówieniu do nagrodzonej podkreśliła znaczenie rzetelnego spełniania obowiązków pomocnicy domowej, która tym samym przyczynia się do ładu i dobrobytu danej rodziny.

Pani Maria Karczevska w referacie swym podzieliła się ze słuchaczkami wrażeniami z Niemiec, gdzie uczestniczyła w IV zjeździe właścian niemieckich, którzy od czasu objęcia władzy przez Hitlera tworzą tzw. „Stan wyżywienia państwa niemieckiego”, mający za zadanie wyprodukowanie produktów spożywczych dla całych Niemiec. Prelegentka, która uczestniczyła już 2 lata temu w takim zjeździe, miała możliwość zaobserwowania wielkiego postępu w pracach tego stanu — szczególnie w sprawie regulowania produkcji rolnej względnie zapotrzebowań i ulepszenia tej produkcji. Obecnie właścianstwo niemieckie postawiło sobie za zadanie walkę z marnotrawstwem, do której powołani zostali także spóżywcy i kupcy; obok tego hasła wysunięte zostało drugie, a mianowicie: „Praca nad należyтым rozwojem fizycznym młodzieży właściankiej”.

Przewodnicząca p. Lutostańska podała do wiadomości, że powstały dwa nowe wydziały w Oddziale Warszawskim Związku Pań Domu. Wydział Kultury Domowej, który postawił sobie jako pierwsze zadanie walkę z niepunktualnością, która dezorganizując rodzinę, dezorganizuje tym samym całe społeczeństwo. Tyl-

ko przy należyтым rozplanowaniu czynności domowych wprowadzić możemy ład w naszych domach. Wobec czego, Instytut Gospodarstwa Domowego chcąc dopomóc paniom w zakresie układania planu czynności domowych budżetów, a także prowadzenia rachunków domowych, zorganizował łącznie z K. K. O. w dniu 5 lutego na zebraniu członkiń Oddziału Warszawskiego konferencję, na której pięciu prelegentów oświetliło te sprawy, a następnie rozesłana została paniom ankieta, dotycząca powyższego tematu.

Drugi Wydział Informacyjny ma na celu zaznajamianie nowych członkiń Związku z jego zadaniami, działalnością i zainteresowaniem ich do współpracy w odpowiadających im zainteresowaniom wydziałach. Wydział ten współpracuje także z Towarzystwem Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet.

Związek Pań Domu przystępuje do opracowania pierwszego kalendarza Związku Pań Domu. Członkinie proszone są o uwagi, jakie wiadomości pragnęłyby mieć w kalendarzu. Przewodnicząca przypomina członkiniom, że Poradnia Związku Pań Domu wprowadziła bezpłatne porady prawne w godz. od 12.30 do 14 w poniedziałki i środy.

P. red. Szymański w pogadance swej poruszył sprawę fatalnych skutków wzrostu alkoholizmu w Polsce i apelował do członkiń o współpracę w zwalczaniu go.

Na zakończenie zebrania delegat Gazowni Miejskiej pouczył panie, jak odczytywać należy liczniki gazowe.

Następne zebranie członkiń Oddziału Warszawskiego Związku Pań Domu odbyło się w dniu 5 lutego b. r.

CO ROBIĄ NASZE KOBIECY?

Katolicki Związek Polek obchodził 30-lecie swego istnienia bardzo uroczystie. W obecności Dostojników Kościoła z JEm. Kardynałem Kakowskim na czele, przewodnicząca Związku, p. Włodzimierzowa Karska, zagała bardzo liczne zebranie. Protokół odczytała wiceprzewodnicząca, p. Nerowiczowa-Szpilewska, poczem zabierały głos: przedstawicielka grona nauczycielek, K. Z. P. p. Mystkowska, słuchaczka kursów katechetycznych, p. Sokołowska; absolwentka Sem. Naucz. Żeńskiej, p. Z. Habrowska; uczennica Semin. Wychow. Przedszkoli K. Z. P., p. Czyżówna; uczennice Gimn. K. Z. P., p. Podlewska; absolwentka Szkoły

Powszechnej K. Z. P., p. Rokicka; dzieci z Przedszkola K. Z. P. i członek Klubu Gazeciarzy, wyrażając wdzięczność dla wszystkich pań, które zajmują się gorliwie losem gazeciarzy, złączonych w Klubie K. Z. Polek.

Zebranie zakończyło przemówienie kierownika duchowego K. Z. P., ks. kanonika Adama Wyřebowskiego. —

Liczne zebrane członkinie dowodzą raz jeszcze potęgi hasel, w imię których dziesiątki tysięcy kobiet pracują dla ich szerzenia i utrzymania. Zebranie towarzyskie, które odbyło się w lokalu organizacji kobiecych w domu PP. Kanoniczek na Pla-

cu Teatralnym; zakończyło w miłym nastroju piękną uroczystość.

P. Alina Kwiecińska, autorka znana ze swych ślicznych bajek dla dzieci, w tej chwili napisała pięknie wydaną przez Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża opowieść pod tytułem: „Przygody Mateuszka u Duszka Kocmołuszka”.

Piękne ilustracje Haliny Maszyńskiej, pełne humoru i życia, zdobią całość wytwornej książeczki.

P. Wanda Karczevska na szpaltach „Szkwału”, pisma poświęconego sprawom morskim, wychodzącego pod redakcją

p. Stanisława Zadrozno, pisze w poważnym atrykule, zatytułowanym: „W obliczu faktów”, co następuje:

„... Przemiana niepodległego Państwa Polskiego z lądowego w morskie i kolonialne — jest celem zbyt ważkim, abyśmy się mieli rozmnieniać na drobne, małej wagi zagadnienia.

W momencie, gdyśmy postawili już jeden krok naprzód, musimy wyczerpać wszystkie siły, by nie zbacać z obranej drogi, by nie cofać się, lecz iść tak nieustępliwie, jak nieustępliwie są inne narody, które w bród mają wszystkiego.

Jesteśmy w takim położeniu, że dostęp do surowców, do terenów zamorskich — mieć musimy.

Dlatego też nie tylko sama inicjatywa, ale i fundusze muszą się znaleźć na popieranie akcji kolonialnej, na ruch osadniczy, na nawiązywanie stosunków handlowych z krajami zamorskimi. Na zakładanie domów handlowych polskich, na kształcenie młodzieży w kraju i zagranicą w fachu plantatorów, handlowców, urzędników administracji, lekarzy tropikalnych i znawców kolonii.

Za parę lat staniemy w obliczu faktu, że kolonii nie posiadac — już nie możemy. Wtedy do zagadnień kolonialnych podchodzić będziemy nie tylko z gorącą wiarą, z sercem, z nadmiarem ludności, potrzebą surowców i rozwiązania bezrobocia — ale i z ważkim argumentem wyników naszej penetracji gospodarczej na ziemiach zamorskich, z kadrą wykwalifikowanych ludzi,

uzbrojonych nie tylko w teorie problemów kolonialnych, ale i w wiedzę praktyczną, nabytą przez doświadczenie na własnych placówkach gospodarczych. Aby się jednak tak stało — już dziś musimy dać odpowiednie warunki wychowawczo-kolonialne tym, którzy stanowią przyszłość Polski jutrzejszej, przyszłość kolonii polskich: młodzieży.

Zabiegi naszej dyplomacji na terenie międzynarodym muszą być oparte tylko na takiej, a nie innej współpracy całego społeczeństwa”.

W piśmie takim, jakim jest nasza „Rodzina Polska”, głos młodej Autorki winien zwrócić uwagę na kierunek wychowania młodzieży, przed którą rysują się nowe drogi działania. Przygotowanie a potem dróg tych objęcie i kierownictwo w danych warunkach, to normalny rozwój ekonomiczny i przyszłość kraju.

P. H. Korolec-Bujakowska, jeździ po Indiach i daje nam w poczytnym tygodniku „Świat” piękne opisy swych zajmujących obserwacji, zamorskich krajów.

P. Z. Zaleska opracowała wraz z p. W. Ładziwą „Kalendarz pani domu na wsi i w mieście”. Niebawem praktyczna i pożyteczna książka, wydana na pięknym papierze, na którego 260 stronach spisane wszystko, co tylko do wiadomości racjonalnego prowadzenia gospodarstwa domowego potrzebne.

PP. Nowodworska, Neronowiczowa i Rudzińska stworzyły bardzo pożyteczną stałą imprezę, a mianowicie: „Restaurację Organizacji Kobiety” na Placu Teatralnym, Senatorska 18, w domu PP. Kanoniczek. Nazwiska założycielek, zapewniają zdrowe, smaczne i tanie pożywienie, bo się na tym znają, wzorową staranność i czystość, bo do nich przywykłe we własnych domach, oraz atmosferę, którą gwarantują Ich Imiona. Wszystkie samotne kobiety niezawodnie z wdzięcznością odczytują tę wiadomość.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć musimy, że bezrobocie jeszcze potrwa długo. Ze mrozy zwiększyły grozę niedoli ludzkiej i że każdy ofiarowany grosz, to porcja żywności dla zgłodniałego dziecka. Więc dzielimy się co dnia, czym kto może, zawsze z hasłem pomocy dla tych, którzy są bez pracy a głodni. Głód jest złym doradcą. Tylko nasze miłosierdzie i nasza doraźna pomoc, mogą złagodzić jego złe podszepty.

Wiedzieć trzeba, że Biblioteka P. K. O. powiększyła swe zbiory książeczką, świeżo wydaną, z wielce interesującym tytułem: „Jak oszczędzać w gospodarstwie domowym”.

Na pierwszej karcie czytamy: „Przez ręce pani domu przechodzi w całej Polsce rocznie *osiem miliardów złotych*, miesięcznie stanowi to *666.000.000 złotych*. Gdyby tylko 1/100 wydatków miesięcznych zaoszczędziła każda pani domu, wyniosłoby to *6.660.000 zł* miesięcznie odłożonych oszczędności, a w ciągu roku dałoby to *79.920.000 złotych*”.

Tych zawrotnych sum osiągnięcie w naszym gospodarstwie sprawdzian mamy na dalszych stronach praktycznej książeczki, której nabycie polecamy naszym Szanownym licznym Czytelnikom.

Wiedzieć jest powinnością, że w propagandzie turystycznej i krajoznawczej wzięty udział kobiety nasze.

Staraniem członków Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Skolsczyczyny w regionie Karpat Wschodnich, w którym leży sławny ośrodek narciarski, odbył się w Skolem zjazd członków, w którym wzięła udział p. Jadwiga Hilarowiczowa z Warszawy, jako przewodnicząca sekcji kobiecej Stowarzyszenia. Sekcja kobieca zamierza w najbliższym czasie rozwinąć szerszą działalność i propagandę w kierunku większego wyzyskania tej jednej z najpiękniejszych części Karpat na pobyty zimowe i letnie młodzieży szkolnej z całej Polski. —

Każda, zwłaszcza mająca dzieci w wieku wyboru kształcenia, wiedzieć powinna, że nowopowstające gimnazja krawieckie o kursie 4-letnim mają w programie fachowym — w szkołach męskich — krawiectwo męskie z tzw. ciężkim damskim, a w szkołach żeńskich — krawiectwo damskie z dziecięcym.

Program nauk zawodowych obejmuje: praktyczną naukę w warsztacie, rysunek zawodowy i kompozycję, towaroznawstwo, organizację techniczną warsztatu krawieckiego oraz jego organizację administracyjną i handlową.

Do gimnazjów krawieckich są przyjmowani kandydaci względnie kandydatki od 13 do 17 roku życia, którzy ukończyli 6 klas szkoły powszechnej i złożyli z wynikiem dodatnim egzamin wstępny.

W zakresie ogólnokształcącym program obejmuje: wiadomości przyrodnicze, geografie gospodarczą, matematykę, naukę o Polsce współczesnej, religię, język polski, język obcy, historię, poza tym wychowanie fizyczne, śpiew i — w szkołach żeńskich — gospodarstwo domowe.

Gimnazja zawodowe dadzą nam szeregi przygotowanych do zawodowej pracy jednostek, niepozabawionych mimo to, wiadomości obowiązujących każdego, bez względu na jego zatrudnienie. Programy te odciążą zastępy kończących pensje i gimnazja, a wstępujących ryczałtem do wyższych uczelni i uniwersytetów, bez względu na przyszłość a nawet na własne uzdolnienia. Przybędą nam zastępy światłych obywateli, zajętych rzemiosłem i specjalnością zawodową, co niesłychanie podniesie stan średni i unicestwi różnice klas społecznych.

KURSY KROJU, szycia i modelowania

Mistrzynie Cechu Warszawskiego
S. KŁOSSOWSKA

WARSZAWA, UL. CHŁODNA 43 m. 8

Wszystkie Kobiety Polki winny zapisać się na członkinie Oddziału Kobiet Ligi Morskiej i Kolonialnej. Za małe grosze kupią spokój sumienia spełnionego czynu Obywatelki Kraju, względem jednej z najważniejszych spraw jego rozwoju.

Zarząd Oddziału Kobiet L. M. K.
w Warszawie
Marszałkowska 157 II p.

PRANIE KORONEK

We wszystkich cywilizowanych krajach już od mniej więcej XIV wieku są w użyciu różnego rodzaju koronki. Zdobą się nimi szaty i paramenty kościelne, bieliznę stołową i pościelową oraz stroje kobiece.

Italia, Francja, Holandia i wiele innych krajów Europy wprowadzały również koronki do upiększenia stroju męskiego. Nie tylko dwory królewskie i modni strojnisiś miłowali się w koronkach, gdyż również lud wiejski po dziś dzień wyrabia własnoręcznie piękne koronki i przybiera nimi swe czepce weselne i uroczyste, krezy przy koszulach i mankietach, fartuchy i chusteczki.

Znane są w szerokim świecie piękne szydełkowe koronki na Śląsku, misterne klockowe koronki w Zakopanem, Bukowinie Tatrzańskiej, w Bobowej, w Horkówce koło Krosna, a oprócz tego niemal cała Polska była dawniej zarzucana ośrodkami koronkarskimi.

Moda koronek powróciła obecnie, warto więc zapoznać się z techniką prania i prasowania tych pajęczych siatek, które zawsze są drogie i łatwo je uszkodzić. Przede wszystkim jeżeli prac mamy luźne koronki, nie przyszyte do płótna, czy batystu, musimy zabezpieczyć je przed zniszczeniem. A więc cienkie koronki siatkowe, czy też tiulowe, fastrygujemy lekko na batystie, nawijamy na wałek lub butelkę i zanurzamy w letniej wodzie, w której rozpuściłyśmy płatkę mydlaną (kupne), lub zeszkobane mydło barskie. W tym rozczyne ugniatamy lekko wałek z koronką, aż puści brud. Dwa lub trzy razy zmieniamy mydliny, wreszcie płuczemy w letniej wodzie.

Po ukończeniu prania odwijamy batyst z koronką i lekko wyciskamy bez kręcenia i układamy na samodziale, lub poczwórnie złożonym prześcieradle, zwijamy i ugniatamy.

Po wygnieceniu z wody można koronki lekko przykrochmalić: białe w rozczyne krochmalu ryżowego, czarne zaś w rozpuszczonej bezbarwnej żelatynie, i znów wycisnąć w płótnie. Następnie uważnie wypruć fastrygę i rozłożyć koronki na uprzednio przygotowanym podkładzie. Może to być poduszka, lub koc przykryty czystym, białym płótnem. Teraz następuje bardzo ważna czynność. Trzeba koronki ułożyć równo i każdy zębek czy też gwiazdkę przypiąć nierdzewną szpilką tak, jak to uwidoczniiono na rysunku. Od starannego przypięcia zależy wyprostowanie pięknego wzoru i nadanie koronce świeżości. Po dokładnym wyschnięciu można przegładzić ciepłym żelazkiem przez płótno.

Koronki klockowe, gipiury i inne grubsze koronki można prac bez naszywania na batyst, lecz wyciskać i ugniatć tak samo. Przy suszeniu również rozpiąć na miękkim podkładzie.

Maria Stefkowa

STYLOWA SUKNIA WIECZOROWA

Suknia ta wykonana z jasnej tafty, nadaje się jako wieczorowa toaleta dla pań i młodych, szczupłych pań. Skromna, ale

WZROST WKŁADÓW W P. K. O.

W dniu 14 bm. odbyło się posiedzenie Rady Zawiadowczej P. K. O., która po wysłuchaniu sprawozdania Komisji Rewizyjnej zatwierdziła bilans P. K. O. za rok 1936, zamykający się czystym zyskiem zł 5.599.474,55.

Wkłady wzrosły w ciągu roku ubiegłego o złotych 13.981.942,60, osiągając na dzień 31 grudnia ubr. ogólną sumę zł 895.668.821,29. Książeczki oszczędnościowe wzrosły w ciągu roku sprawozdawczego o 397.988 szt. do 2.286.830 sztuk. Ogólny obrót wyniósł nienotowaną dotąd cyfrę 30 miliardów złotych.

CHORY ŻOŁĄDEK

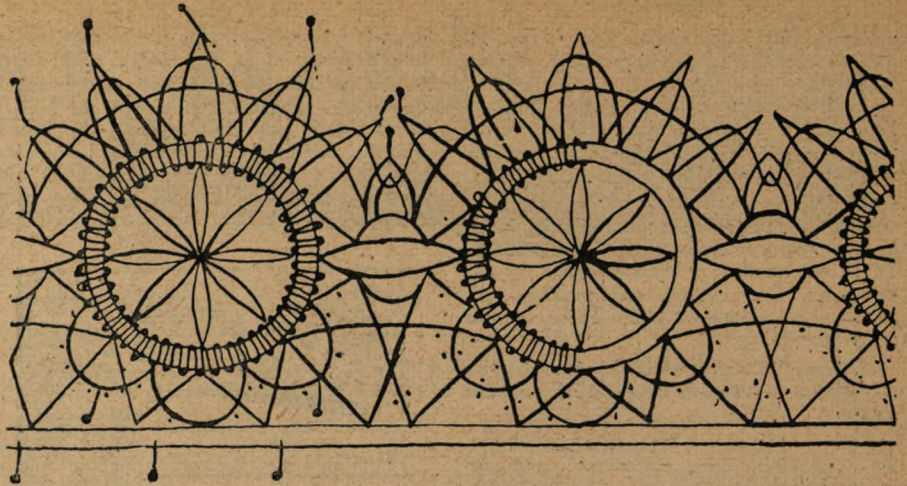
JEST NIERAZ POWODEM POWSTAWANIA
NAJROZMAITSZYCH CHOROÓB

ZIOŁA Z GOR HARCU Dra LAUERA

są dobrym środkiem dla uregulowania żołądka, usuwają obstrukcję, są łagodnym naturalnym środkiem przeczyszczającym, usuwają substancje gnilne, zatruwające organizm

ZIOŁA Z GOR HARCU Dra LAUERA

stosowane również przy cierpieniach wątroby, nerek, kamień żółciowych i hemoroidach są chętnie przyjmowane przez chorych



posiada w linii wiele wdzięku. Jako dopełnienie toalety kołnierza z lisa.

Do sukien popołudniowych bardzo modne są kokardy z wąziutkich ruloników organdy, bardzo lekkie i efektowne — albo też ze złotej lamy skręcony sznur naokoło szyi, zakończony z przodu 3 kwiatami z lamy, o podszewce koloru sukni.





SUKNIA DZIENNA

Model ten nadaje się do materiału trykotowego, obecnie wchodzącego bardzo w modę — dawniej zwanego „jersey”. Przybranie sukni zasadza się na drobniutkich zakładkach zdobiących przód, rękawy i część paska.

Bluzka z białego satin lux z aksamitnymi kokardkami, zapina się z tyłu.

Szerokie kołnierze, w rodzaju falban, z lekkich materiałów, są bardzo modne, szczególnie dla młodych pańien. Z boku spina się je klipsem albo broszką.

E. Kotwicz-Onichimowska

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Romanie W... w Wilnie. Właśnie ma Sz. Pani w Wilnie taką „Poradnię Wychowania”, o jaką Pani nas pyta. Staraniem Katolickiego Stowarzyszenia została zorganizowana poradnia wychowawcza, której celem jest niesienie pomocy rodzicom i wychowawcom w wychowaniu indywidualnym i zbiorowym. Praca poradni wychowawczej pójdzie po linii współdziałania zarówno z najszerszymi masami matek-wychowawczyń, jak i z inteligencją. Od stycznia br. są opracowywane i wysyłane do wszystkich oddziałów K. S. K. na terenie archidiecezji wileńskiej popularne poradniki z dziedziny wychowawczej. W poradni udziela się

praktycznych rad i wskazówek rodzicom i wychowawcom, jak należy wychowywać dzieci. W marcu projektuje się zorganizowanie stałych zebrań dyskusyjnych dla inteligencji, celem omawiania aktualnych zagadnień wychowawczych i oświeclania ich z punktu widzenia nauki Kościoła katolickiego. Poradnia mieści się w lokalu Archidiecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej w Wilnie przy ul. Metropolitanej 1. Kierownictwo jej objęła p. Adela Stefanowiczowa.

Długa nieobecność Sz. Pani w Wilnie zapewne jest przyczyną, że wiadomość ta ominęła Panią. Za ufność, pokładaną w naszej Redakcji bardzo jesteśmy wdzięczni. —

P. W. Mal... w Suwałkach. Już raz podnosiliśmy sprawę pensjonatów na łamach naszego pisma, ale zupełnie słusznie uwagi Pani Szanownej chętnie, nawet obszerniej, kiedyś omówimy, godząc się z tym, że „dużo jest powołanych, a mało wybranych” w sprawie organizowania pensjonatów, mających przecież za zadanie dostarczać ludziom pracującym w mieście, jak najwygodniejszego wypoczynku — na wsi.

Zarobek z tego źródła słusznie uważać można za cel tych, którzy ciężar prowadzenia pensjonatów biorą na swe barki. Ale, tu należy pogodzić dobro i podaży i popytu, a wtedy będzie można wyjść z dobrym zobopólnym rezultatem, jeśli do zakładania pensjonatów staną osoby przygotowane do tej sprawy.

Za granicą istnieją specjalne szkoły hotelarskie, u nas jest taka w Zakopanem i w Krakowie. W każdym razie niech Pani zwróci się do „Związku Pań Domu”, Warszawa, Nowy Świat 9, tam niezawodnie dadzą Sz. Pani wskazania praktyczne i rady życiowe. Powodzenia w pracy życzymy. —

P. Marii S... w Warszawie. Sprawa „służby” naszej omawiana jest na szpaltach pism zwłaszcza kobiecych odkąd żyję. A żyję długie lata. I twierdzę, że nie posunęła się na dobro ani służących, ani ich chlebodawczyń, na krok. Ciągłe są zażalenia z jednej i drugiej strony. A przyznać należy, że najczęściej jedna i druga strona wysuwa swe sprzeczne pretensje, nie bez słuszności. Trzeba by zmienić od nowa: mieszkania, dając osobne, choćby najmniejsze pokoiki. Terminy pracy, które u nas nie są ustalone w ogóle. Znieść analfabetyzm, który jest jeszcze cechą połowy służących, nieopuszczający je do jakiej takiej rutyny czytania choćby najprzystępniejszej gazetki i jeszcze wielu warunków, zapewniających normalne warunki służbie. Ale, ponieważ sami chlebodawcy nie mają zapewnionych tych normalnych warunków w epoce bezrobocia i ogólnego zamętu, który jest nieunikniony w epoce tworzenia się naszego państwa, więc należy łagodzić obopólne niedomogi dążąc jednak do jakiej takiej równowagi.

Nie jest to ścisła odpowiedź na pytanie Sz. Pani, ale jaką inną dać w obecnej chwili można?

P. Wandzie Mal... w Rawie. Nasza policja kobieca, ma jak najlepszą opinię i pracując poważnie zyskuje zasłużony szacunek.

P. Z. K. Na Pomorzu jest „Szkoła Gospodarczo-Zawodowa” w Świeciu. „Wylęgarnia Drobiu” w Morczynach.

WEZWANIE DO KOBIEC SAMOTNYCH

Inteligentne, pracujące, przejęte duchem religijnym i społecznym kobiety! Stańcie z nami w jednym szeregu do pracy, bądźcie nam pomocą czynną przez współpracę, stosunki lub środki materialne, z dobrą wolą zechcicie ofiarnością swoją poprzeć naszą instytucję!

Brak rąk do pracy wpływa na zwłokę w urzeczywistnieniu naszych planów, a praca już jest daleko posunięta. Tworzymy „Dom dla samotnych kobiet” z atmosferą religijną i rodzinną, zapoczątkowane są warsztaty pracy, które dadzą możliwość zarobkowania bezrobotnym i pomogą do idei samowystarczalności tego domu.

O dobrodziejstwie zaś takiej placówki mówią nam nie tylko artykuły znanych działaczek społecznych, ale słowa i otrzymane przez nas listy z różnych stron kraju od kobiet, wzdychających do takiego „swego” pewnego kąta do końca życia. Dom ten skupiałyby zasoby, środki, siły i zdolności, marnujące się nieprodukcyjnie.

Czekamy oddźwięku na to wezwanie w sercach, rozumiejących i odczuwających tę palącą kwestię kobiet samotnych względem tych, które nie mają nikogo na świecie, ani żadnego oparcia.

„I Koło im. Wandy Malczewskiej”.

Sekretariat czynny we wtorki i piątki od godz. 5 do 6 przy ul. Marszałkowskiej nr 76, m. 5. Tel. 936-13.

Wezwanie to popieramy z całą gorącością serca i ze względu na znajomość zacych kobiet, które tę inicjatywę podjęły i ze względu na te liczne zastępy samotnych kobiet, które, pozbawione stworzenia własnej rodziny, znajdują atmosferę ciepła rodzinnego w domu dla kobiet samotnych.

R.

KĄCIK DLA DZIECI

SEJM WRÓBLI

Biały, puszysty śnieg zasypał świat cały, wszędzie gdzie się obrócić biało i biało. Wybiegły dzieci z domów, ciągną saneczki, niosą narty, obrzucają się śniegułkami, wszędzie śmiech i piski radosne. Ale nie do śmiechu było wróbelkom. Śnieg grubą warstwą pokrył ziemię i krzewy. Ani co znaleźć na ziemi, ani nawet na krzakach przemarzłych jagódek poszukać, bo warstwa śniegu za duża. „Świr, świr, co tu począć”, piszczali biedaki, a głód im skręcał brzuszki. Zebrało się ich kilka i radzą. „Na wieś pod stodołę lecieć”, mówi jeden. „Głupsi!”, obruszył się drugi, „już pewno dawno zboże omiócone, a przy tym, za słabeśmy do latania tak daleko”. — „Coś ty powiedział? co?”, rozczapierzył się pierwszy. — „Że jesteś głupi, głupi”, krzyknął zuchwale drugi. „Takiś ty”, ćwierknął pierwszy i skoczył na niego, złapały się za czupryny i dalej bić się, aż puch wokół leciał. „Bijcie się, bijcie”, kiwnął łebkiem stary Onuferek, „będzie wam ciepło jak tyle pierza postradacie, a sił wam to doda!” — „Cwir, cwir — Onuferek ma rację”, zaswiergotała reszta, a gruba Maciejaszka zamachnęła skrzydłami i jak kula wpadła między bojowników. „A wy smarkacze, przestaniecie!” piszczala rozdzielając dziobkiem uderzenia, „dostycie biedy, a tu jeden z drugim jeszcze bić się będą. Niezgodą nic nie zmurujecie!” Rozdzieleni przeciwnicy stanęli, otrząsnęli się i zaczęli ćwierkać: „Kiedy on... kiedy on...” — „Obojeście winni — jeden niegrzeczny, a drugi raptus, przeprosić się i zgoda”, komenderowała Maciejaszka. „A teraz zapytamy się dziadzi Onufereka, czy on radzi, stary jest, niejedną zimę przeżył... nawet z uczonymi ludźmi się spotykał...” — „Naprawdę?” rozdziały dzioby młode wróble. „A tak, tak”, pokiwał głową dziadzi Onuferek. „Bo to widzicie, jakim był takim matym skrzatem, ledwo puchem okrytym i jeszcze żółtodziobkiem, wychyliłem się z gniazduka i puc spadłem na balkon ludzkiego mieszkania. Fruwać jeszcze nie umiałem, a za ciężki już byłem, by mnie rodzice unieść mogli, zostawili mnie więc własnemu losowi. Ale trafiłem dobrze, balkon ten należał do mieszkania jednego profesora, widział on moją przygodę i zaopiekował się mną. Wziął mnie, włożył do koszyczka, karmił piórkami, a gdy już sił nabrałem stawiał z koszykiem na balkonie, tam moja mama do mnie przylatywała i nauczyła mnie latać. Dobry to był człowiek, odwiedzałem go nieraz, a co się tam mądrych rzeczy nasłuchałem...” I dziadzi Onuferek zagłębiwszy się w spomnieniach zamilkł i zamyslił się głęboko. „Ja wam coś powiem”, przerwał milczenie, brązowy wróbelek z okrągłym łebkiem i wielkimi oczami, „ja mieszkam koło Sejmu”. — „Co to jest Sejm?”, zapytał jeden z młoców. „Takie miejsce, gdzie ludzie się gromadzą i radzą”. — „O czym, o czym?” „O różnościach, to dla ciebie za mądre... Ale każdy

mówi swoje i potem wszyscy się zgadzają na jedno”. — „Zawsze?” zapytał młoc. „Nie zawsze”, ofuknął grubas, „ale często! Więc ja proponuję, żebyśmy coś takiego zrobili. Zwołali taki, czekajcie, jak to ludzie nazywają, wiem już, wiec. Wróbli więc na drzewie, koło tego dużego, białego domu, ja będę przewodniczył... no, lećcie i zwołujcie wszystkich. Będziemy radzić jak wypędzić złą zimę i skąd dostać ziarna!” — Spodobało się to wróblom i nie minęła godzina jak już całe drzewo gęsto było przez braci wróblą osiedzone. Na najwyższej gałęzi usiadł projektodawca i zaczął przemawiać. Ledwo jednak wyswierkał słów parę, wszystkie wróble zaczęły prawić, każdy z radą pośpieszał, każdy chciał być pierwszym... Narobiły takiej wrzawy, że aż stara kucharka wyjrzała przez okno i zawołała: „Chodźcie no, dzieci, popatrzcie na wróbli sejm”. Przytknęły dzieci noski do szyby i zobaczywszy kłębowisko wróbli klasnęły w rączki z uciechy. „Wiecie”, przyszło jednemu z nich na myśl, „a może by im tak ucztę wyprawić?” i dalej do kucharki prosząc o bułkę, o kaszę. Sporo tego wyprosiły. „Dajcie im, dajcie, śnieg wszystko zasypał, głodne pewno Boże ptaszki”, mówiła dobrotliwie. Otuliły się dzieci i wyszedłszy na ganek sypać jeły pokarm. Z początku zaciętrzewione wróble nie widziały, ale jeden, zepchnięty w natłoku na ziemię, zobaczył przed dziobem okruszynę. Z okrzykiem „jedzenie!” porwał ją w dziobek i podfrunął, a na to hasło wszystkie wróble sfrunęły na ziemię i jeły dziobać dar hojnej ręki. Gruby mówca rad z cizy, zamknął oczka i jął ćwierkać swe wywody, cisza panująca wokół zdziwiła go — rozejrzał się — ani jednego wróbla na drzewie, ale za to, co się dzieje na ziemi!... „Jedzenie... jedzenie...” usłyszał nawoływanie. „Dobrze to, ślicznie to”, ćwierknął, „ale najpierw trzeba skończyć naradę, wróćcie na drzewo...” Ale nikt go nie słuchał, więc strzepnął rozpaczliwie skrzydełkami i... sam sfrunął ku smacznym kąskom.

H. Rostafińska-Choynowska

WESOŁY KĄCIK

- Mamusiu, jak się nazywa ten ptaszek?
- Makolągwa.
- Czy dlatego się tak nazywa, że się w maku lęgnie?

Zagadka: Szała matka z córką i babka z wnuczką, znalazły cztery jabłka. Każda wzięła po jednym a jeszcze jedno zostało. Jak to się stało?

PRZYSZEDŁ LUTY

Przyszła mroźny, groźny luty,
Tchem lodowym świat osnuty,
Za nim kuma zawierucha,
Wiatr północny chłodem dmucha.
I mroź, co ma białe oczy,
Wokół nimi groźnie toczy,
Gdzie padną jego spojrzenia
Wokół uszy wszystko w lód się zmienia.
Przeraziły się rośliny,
A najbardziej ozininy:
„Mroź nas zdusi, wiatr rozdmucha,
Nie strzyma roślinka krucha,
I nie stanie ludziom chleba,
Będzie bieda... bieda... bieda...”
Ale któż to tam, hen, w górze,
Na ogromnej płynie chmurze?
To śniegowa mama leci,
Za nią tysiące jej dzieci.
Lecą małe śniegulinki,
Niosą puszyste pierzynki,
Okryją niemi świat cały,
Pola, łąki, lasy, skały.
Nie groźny teraz mroź luty,
Kiedy śniegiem świat osnuty.

H. R. Ch.

NA GROMNICZNĄ...

Na Gromniczną, na Maryją
Wszystkie dzwony głośno biją.
Każdy ludzi głośno woła:
„Do kościoła, do kościoła!”
Pośpieszają się ludziska
Każdy w dłoni świecę ścisła —
Świecę pięknie malowaną,
W skrzyni ze czcią przechowaną.
Kornie z świecą suną w tłumie,
Poświęci ją ksiądz na sumie.
Gdy do domu z nią wrócimy,
Krzyże w odrzwiach naznaczymy,
Gromnicznym świętym płomieniem.
By krzyż czuwał ponad mieniem
Naszym i dobytkiem całym,
Chronił przed gromem, pożarem.

MÓJ BUDZICZEK

A ten mój budziczek,
To dziw nad dziwy,
Ciągłe szept do mnie
Jak gdyby żywy.
Groźnie węssem rusza
I tak powiada:
„Czas już czas, niech Jurek
Do lekcji siada”.

A rano, śpię smacznie,
Już głośno woła:
„Wstawaj, już niedługo
Zacznie się szkoła”.

Gdy wrócę ze szkoły
Wita mnie mile:
„Smutno mi bez ciebie
Płynęły chwile”. —

Niby się uśmiecha,
Lecz znów pogania:
„Czas szybko ucieka
Odrób zadania”.

A gdy skończę lekcje,
To szeptem słodko:
„Idź się zabaw teraz
Moja pieszczołko”.

Śmieje mu się buzia,
Wąsy najeży:
„Po pracy zabawa
Idzie najszczerzej”.

I tak mi to budzik
Miły, jedyny,
Odpoczynku, pracy
Znaczą godziny.

H. R. Ch.



ROZRYWKI I UMYŚLOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

PÓJDŹCIE ZE MNĄ...

SZARADA

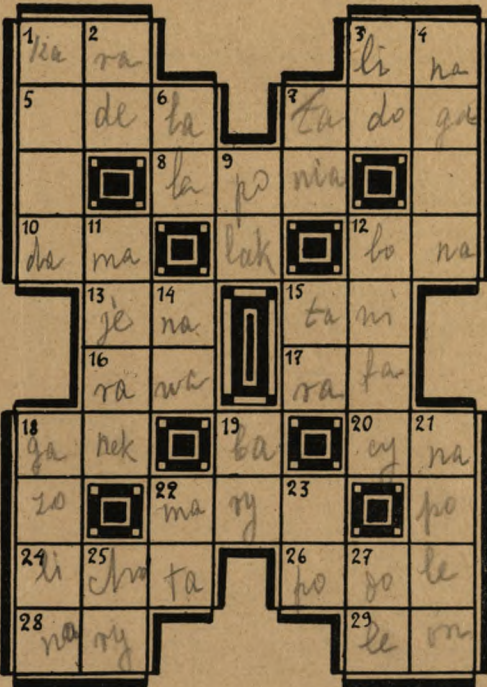
Pójdźcie ze mną w tę pierwszą zimową
przez te wioski i lasy i pola...
Pójdźcie ze mną w tę pierwszą styczniową
tam, gdzie smutek i ludzka niedola...
Tam, pod okna maleńkie, zapadłe,
gdzie dwa-piąta na biednych się czai,
patrząc w twarze wychudłe, wybladłe,
w usta sine, co chleba nie mają...
Tam niedola dwa-trzecia-dziewiąta
ma sześć-siódme wśród biednych zacisze —
szczerzy zęby i łązi ośm kątach —
i płacz dzieci do snu ją kołysze...
Pójdźcie ze mną, gdzie trzecia i czwarta
w długim poście na ustach zamarla...
Pójdźcie ze mną — tam droga otwarta —
tędy ludzka niedola się wdarła...
Jestem biedny — mnie serce też boli —
trzecie-siódme uczucia im niosę...
Pójdźcie ze mną na przekór niedoli
tam, gdzie dzieci zgłodniałe i bose...
O, dwa-trzecia! Twe piękne wieczory
i ośm-czwarte-dziesiąte są na nic!...
Pójdźcie ze mną — nie mamy wyboru...
Ludzka bieda też nie pięć swych granic!...
„Tońko” (czł. Kl. Sz.).

ROZKOSZE ZIMOWE

SZARADA

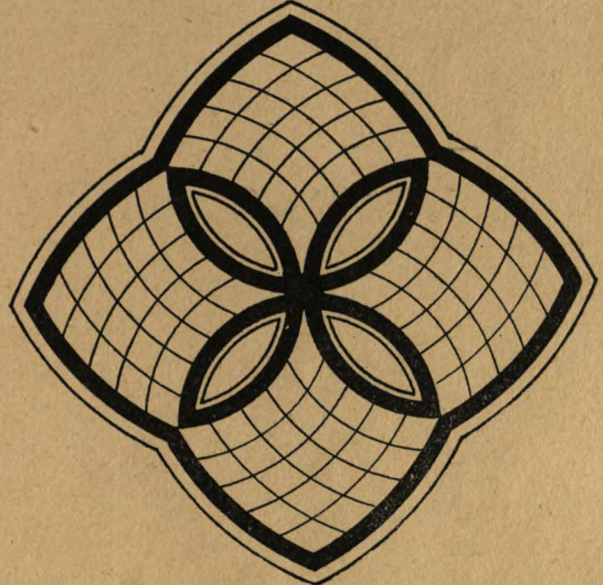
W śniegu doliny, góry, rzeki, strugi...
Zima już w tuzin-trzynastej swej kraszy,
białych róż dziewięć-póldziesiąty-drugi
tworzy krzak kryty puchem białej masy.
Zgłodniałej tuzin-wspakwótr-jedenastej
w lasach brnie piechur w tych zaspach kopiastych,
a śnieg bez przerwy wciąż pada i pada...
Sportowcy, całosc! W teren lotem strzały,
niech trój-czwartego pięć-sześć-siedm-ósme
rozkosze będą nas wszystkich udziałem...
Marsz do Krynicy, do Zakopanego!...
Już się rozpoczął raz-drugi sportowy —
wielki zjazd z dziesięć-jedenastej Polski,
czwór też przybyli na tor saneczkowy
przedstawiciele klubów czeskich, włoskich!...
Trzecie-pólpierwsze gromady narciarzy,
mkną w dal srebrzystą niczem chyże losie,
żlobią uśmiechy radości na twarzy,
te pięć-sześć-dziewięć-pólpierwsze rozkosze!...
Czas ośm-trzyznaście kroki milowymi,
siedm wszystkim znacząc piętno swego biegu,
więc bierzmy udział z bliskimi swoimi
w tym cudnym sporcie na lodzie i śniegu!...
„Rex” (czł. Kl. Sz.).

KRZYŻÓWKA SYLABOWA



wodna. 18. Mała weranda. 20. Metal. 22. Żeńskie imię zdrobn.
24. Nędzota. 26. Część Polski. 28. Legowisko. 29. Imię męskie.
Wyrazy pionowe: 1. Dawne krótkie działo okrętowe.
2. Wesole. 3. Wyspa pod Wenecją. 4. Składy towarów.
6. Strojnisia. 7. Sarna. 9. Obywatel państwa europejskiego.
11. Gatunek lebidki. 12. Imię męskie. 14. Część kościoła. 15.
Waga opakowania towaru. 18. Część ropy naftowej. 19. Silne
plecy. 21. Cesarz Francuzów. 22. Plecionka z trzciny. 23. Lewy
dopływ Amazonki. 25. Niezdrowy. 27. Przeznaczenia.
C. Kwiecień (Ostrowiec).

KWADRATY MAGICZNE



- Kwadrat I:** 1. Gra chłopięca. 2. Zwierz leśny, zdrobniale.
3. Czastka żaru. 4. Część dworca kolejowego.
5. Różdzeniec.
- Kwadrat II:** 1. Kawalek po obłamaniu pozostały. 2. II (szlam).
3. Stukot. 4. Wyspy koralowe. 5. Peczek nici.
- Kwadrat III:** 1. Urok. 2. In.: napełnia powietrzem (napusza).
3. Powódź. 4. Pelzak. 5. Rodzaj piwa.
- Kwadrat IV:** 1. Zabronienie. 2. Tętnica. 3. Pierwiastek meta-
liczny. 4. Bogini mądrości. 5. Przyrząd do zamy-
kania.

T. Sobecki (czł. Kl. Sz.).

„TEN — TA — TO”

ZAGADKI „ZAIMKOWE”

- I. Naprzód ten wraca dwa razy,
potem te — grzmia kopyta o glazy.
Gdy się ta drugi raz jawi,
zaraz w ojca się bawi.
- II. Historia prosta, jak Kolumba jaje:
Ta właśnie w dubelt ojcem się staje.
- IV. Weź to raz tak, a raz na wspak —
a każdy przyzna, że to mężczyzna.

Dr J. Kadył (Jasło).

Za rozwiązania powyższych zadań (lub choćby jednego) prze-
znacza Redakcja do rozlosowania nagrody książkowej. Termin
nadsyłania rozwiązań trzytygodniowy.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU GRUDNIOWEGO 1936:

Szarada: Zapata.
Szarada: Dziele się oplatkiem.
Szarada: Bohaterowie narodowi.
Zadanie szachowe:

Gdy się silni biją, słabi mają guzy,
własną płacą szyją, gdy się silni biją...
Na stronę nieczyją nie idź, jeśli tuży;
gdy się silni biją, słabi mają guzy.
Żołnierz zbłądzić może, lecz gdy wódz, to biada!
Takie prawo Boże, żołnierz zbłądzić może...
Kraj czeka bezdroże i kara nań spada —
Żołnierz zbłądzić może, lecz gdy wódz, to biada!

Kwadraty magiczne: 1. Walek. 2. Omega. 3. Leman. 4. Emaus.
5. Konsolidacja. 6. Przedostatni. 7. Ożyna. 8. Palec.
9. Altaj. 10. Scena. 11. Morwa (wsp.). 12. Trzep. 13.
Noema. 14. Impas. 15. Irys.

NADZWYCZAJNE WYDANIE JUBILEUSZOWEGO NUMERU „ROZRYWKI”

(nr 49 za styczeń)

już wyszedł z druku i jest do nabycia w kioskach „Ruchu” lub
w Redakcji (Zulińskiego 7, m. 10. Tel. 7-06-99). Ozdobna kolo-
rowa szata — podwójna objętość: 40 najrozmaitszych i cieka-
wych zadań — ilość nagród zwiększona! Cena 1 zł 50 gr. Abo-
nenci otrzymują go bez dopłaty. Prenumerata kwartalna 2 zł.
Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!

Wyrazy poziome: 1. Następstwo winy. 3. Gruby powróż.
5. Tarcza drewniana, skórą powleczone. 7. Jezioro w Rosji.
8. Północna kraina Europy. 10. „Wielka pani”. 12. Nauczycielski
domowe. 13. Miasto n. Saalą, pam. ze zwycięstwa Napoleona.
15. Niedrogi. 16. Miasto w Polsce n. Rawką. 17. Skała pod-

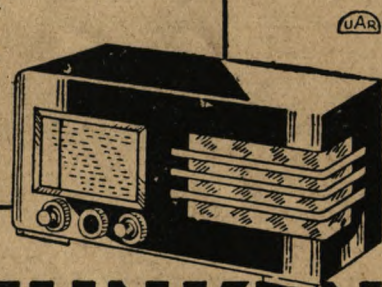


3 SUPERY 4-ty PREMIER

CENA
OD ŻŁ. 270.-
NA SPŁATY

Organizmy tych arcytworów techniki radiowej zdają się posiadać najsubtelniejszą „psychikę”. Ich ton, barwa, czystość i plastyka głosu najidealniej dostrajają się do wrażliwości ludzkiego ucha. Nigdy jeszcze słuchanie radia nie było taką przyjemnością! Nigdy jeszcze wykonawcy produkcji radiowych nie byli tak „blisko” słuchacza. Zasięg, selektywność, regulacja barwy, łatwość obsługi, precyzja skali, piękno skrzynki — to scharmonizowana i doskonała całość aparatów TELEFUNKEN.

- „LORD”. Superheterodyna 3-lampowa najnowocześniejszej konstrukcji
- „ARYSTOKRATA”. Superheterodyna o 5-ciu obwodach. Maksymalna selektywność. Idealny dźwięk i barwa. Palisandrowa, piękna skrzynka.
- „MAGNAT”. 5 lamp, 7 obwodów. Superheterodyna, która zachwyci każdego, przynosząc melodie z całego świata.
- „PREMIER”. Idealna konstrukcja. 3 zakresy. Wzmocniony stopień końcowy 3 lampy



TELEFUNKEN

ODBIORNIKI FONOPLASTYCZNE
UWAGA: ZAMÓWIENIA WYKONYWANE SĄ WEDŁUG KOLEJNOŚCI ZGŁOSZEŃ.

Czy wiesz, ←

→ że

potęga Katolicyzmu w Polsce jest zależna od potężnej katolickiej prasy?

Dlatego czytaj i rozpowszechniaj
PISMA KATOLICKIE!

przy
hemoroidach
(KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIECZENIE, BÓLE)
CZOPKI i MAŚC „VARICOL”
GAŚCICKIEGO
DO NABYCIA W KAŻDEJ APTECE

ŚWIECE „POLO”
KOŚCIELNE BRACTEWNE
KADZIDŁA I KNOTKI OLIWNE
oraz najwyższej jakości MYDŁA do prania
poleca firma Polska i Katolicka
Warszawa ul. Czerniakowska 203.
Korzystno conniki wysyła na żądanie „POLO”

MIÓD PSZCZELNY
lipowy ze słynnych Miodoborów Podolskich oferuje
po cenie: 3 kg — 6 zł, 5 kg — 9 zł, 10 kg — 17 zł,
20 kg — 33 zł.
ORZECHY WŁOSKIE
5 kg — 9.50 zł, 10 kg — 18 zł.
Cena rozumie się wraz z opakowaniem i opłatą pocztową
za zaliczką. — Za jakość i czystość pełna gwarancja!
Zamówienia nadsyłać:
Eksport Miodu i Ziemiopłodów
Józef Chruściel, Zbaraż skr. pocz. owa 19

Każda KATOLICZKA niechaj kupując
TRZY LILIE NICI, JEDWAB do szycia.
TRZY LILIE BAWELNĘ I WELNĘ do cerowania.
żąda wszędzie TYLKO Z MARKA
TRZY LILIE firma Polska i Katolicka

PRZEGLĄD KATOLICKI
Tygodnik, przeznaczony dla inteligencji, omawia sprawy religijne, kulturalne i społeczne w świetle zasad katolickich.
PRZEGLĄD KATOLICKI jest niezbędny w rękę każdego działacza społecznego jako informator wszechstronny, redagowany barwnie i żywo.
Redakcja, Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71, tel. red. 240-15
Cena prenumeraty rocznie 16 zł.
Dla studentów i seminarzystów 50% zniżki.